

WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.
Tom czternasty.

PAŁAC I FOLWARK.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

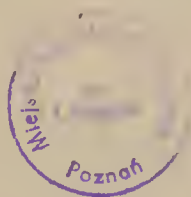
WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—
1883.



Доволено Цензурою.
Варшава, 9 Нолбря 1882 года.



Patrz że no. asindziej — patrz, i powiedz mi czy jest co na świecie piękniejszego nad ten widok! — mówił podżyły już ale pełen siły. energii i zdrowia. czerstwy, spokojnego oblicza mężczyzna w sukni duchownej do młodego chłopaka, który dość obojętnie i zimno oglądał się po okolicy. Oba siedzieli na ganku, z szeroką wystawą ocienioną dwoma ogromnymi lipami, na probostwie, nieopodal od starożytnego gotyckiego kościółka. Na stole przed nimi, na tacce czarnej zużytej. stała para wytartych filiżanek, imbryczek kamienny od kawy i garnuszek podobny od śmietanki. Cały przybór był więcej niż skromny, stary, otłuczony, biedny ale czysty. Gruba serwetka podłożona pod tacę, bułka zczerstwiałego chleba, odrobina masła na talerzu fajansowym. zapełniały resztę stolika.

Plebania, pod której gankiem siedzieli, była prawie tak dawna jak kościółek, a na tym, choć go znać restaurowano razy kilka, widać było ślady budowy końca XIV lub XV wieku. Z podań miejscowych wiadomo było, że świątynka ta jedna z najpierwszych

w kraju po jego nawróceniu, istniała już w XI wieku. Każde niemal sto lat coś do niej dodało, zmieniało, przyozdabiało, domurowywało, aż póki w XVII wieku nie wyrosła już taką jaką miała pozostać do dziś dnia.

O plebanii i mieszkańcy jej dożywotni i dziedzice i parafianie nie bardzo myśleli i niewiedomo kiedy ją zbudowano, a od niepamiętnych czasów podpierano tylko i łatano byle się trzymała. Zwykli jej posiadacze nie byli wymagającymi. — Stare dwie przesłiczne lipy, od których cienia dach gnił po trosze, tak były piękne i mile, że dla nich zapomniano o ukrytem w ich gałęziach probostwie.

Z po za konarów, ponieważ domostwo stało razem z kościółkiem na małej wyniosłości, rozwijał się widok na okolicę czysto nasz polski, którego jeszcze żaden komiń fabryczny. żadna nieforemna zbytnią foremnością budowa nie psuła. Jak okiem sięgnąć widać było równinę uprawną, małemi poprzecinaną laskami... pola w szachownice, wioseczki między niemi, krzyże nad drogami, parę srebrnych stawków, sznur jasny rzeczulki co je łączyła. łąki zielone. a bliżej małe miasteczko u stóp tego wzgórza, na którem był kościółek z cmentarzem starym, obwiedzionym murem i plebania z ogrodem i sadem.

Dla młodego człowieka widok ten mógł nie mieć szczególnego wdzięku... bo mu nic nie przypominał, ale oczy starszych w tym hieroglyfie zielonym ile rzeczy wyczytać mogły, co tu było wspomnień, ile poezyi!

Młody człowiek potoczył wejrzeniem posłuszny rozkazowi, popatrzał i nic nie rzekł. Książdz śledził pilnie kierunek jego oczów, czekał zdaje się odpowie-

dzi, a nie doczekawszy się żadnej, wolniejszym głosem począł:

— Ja niewiem, moje dziecko, ja niewiem czem się to dzieje, że wy młodzi teraz nie czujecie nic i my starzy za was młodymi być musimy, bo by już na świecie niebyło tego co się młodością nazywa. a świat bez młodości jak rok bez wiosny na nic by się nie zdał. — Zapewne, może to wina nie wasza, ale nas cośmy takimi wychowali. — Westchnął.

— Czytałeś asindziej — dodał, „życie Mikołaja Reja pana Trzecieckiego? — już cię choć w jakiejś historii literatury musiałeś się z nim spotkać?

Młody chłopak cicho mrknął.

— Czytałem...

— Taka to bywała owa młodość nieco dzika, ale gorąca, żywa, chciwa wszystkiego... chciwa życia i nauki, książki i kwiatków, koni, polowania, widoków niezwykłych, ludzi wielkich... Wy, moi drodzy, w piętnastu latach jesteście odczarowani, wyżyci, niczego nie ciekawi, sceptycy... ani łyż w was, ani śmiechu...

Spojrzał ksiądz na siostrzeńca siedzącego z miłą zasypaną na ławce, a widząc, że i te słowa jakoś rozbudzić go nie mogły, spytał:

— Cóż masz za plany i projekta na te ferie?

— Ja? powoli i cicho rzekł Julian. — właściwie ferii mieć nie będę — chciałbym pospieszyć z egzaminami, a więc roboty ogrom, a i do rozprawy przygotować się muszę.

— Dla czego tak bardzo spieszyć? zapytał ksiądz po chwili. — Nauka, moje dziecko, ma to do siebie, że, by się w człowieku mocno usadowiła, potrzebuje czasu.

Co prędko się nabywa, ulatuje też żywo i później ślad nie pozostaje ciężkiej pracy i tych podwalin grmtowych, które budowę dźwigać powinny.

— Czego się spieszyć? Będąc tobą, jeszczebym rok przeciągał studia uniwersyteckie...

— Spieszę się kochany wuju, — odpowiedział Julian, — choćby dla tego, ażeby wam nie być ciężarem...

Ksiądz ruszył ramionami i popatrzał na młodzieńca z prawdziwym współczuciem.

— Julku mój, odezwał się, nigdyś mi ty ciężarem nie był, robię dla ciebie, com powinien i mogę. Dzielę się z tobą moim chlebem razowym i uczciwą miernością. — Tem mniej to kosztuje, że jestem duchownym, że potrzeb nie mam, że ten chleb mój to chleb ubogich braci... a ja dla siebie nie wymagam więcej nad to co Bóg dał...

— Ja ci powiem Julku — jaka jest przyczyna, dla której ty spieszysz... Niemam ci tego za złe, jest ona w części uczciwa i szlachetna. a zresztą tętni w niej puls naszego wieku. Nikt nie jest już wolen od jego zarazy. Spieszysz się, bo ci doskwiera niepomiernie mierność, ubóstwo, bo chcesz własnego a dostojniejszego chleba. Grzechem to nie jest, gdy bez krzywdy endzej a w pracy własnej się go zdobywa... ale moje dziecko! na to krótkie życie człowieka dla czego koniecznie potrzeba wam tak wiele?

— Ja nie wiem — dodał chodząc zwolna po ganku — wy wszyscy teraz tacy jesteście spaleni tą żądzą nabywania, która jest w gruncie nie tyle może pragnieniem użycia jak chęcią panowania... Wicie że pieniądź królem i antokratą, chcecie go mieć aby przezeń rozkazywać...

Julek jakoś nieochotnie się tłumaczył. popatrzał na wuja i począł nie śmiało.

— Ale kochany wujaszku — rzekł, — to dobrze jest, kto czuje w sobie powołanie duchowne, przestawać na małym: na świecie inaczej.

— Tak, prawda, na świecie inaczej, lecz nie przeto lepiej — przerwał wuj żywo — dawniej między życiem świata a plebanii była tylko różnica potęg a nie charakteru, dziś między dwoma światy naszymi — przepaść. — Myśmy śludzy Chrystusowi. wy Baalowi śludzy... my dzieci ewangelii, wy filozofii poronione chłopięta... Co tu począć na to... Czujemy niestety, aż nadto, że wydzieleni, odosobnieni, pozostaliśmy czemś martwym i bez możności wpłynięcia na społeczeństwo... bo mówimy innym językiem i w imię prawd innych, które dla was zestarzały. choć są wiekuiście młode i świat do nich powrócić musi...

— Ja się wcale z wujem kochanym w dysputy wdrażać ani chcę ani mogę — odparł Julek... — na co mamy te kwestye poruszać...

Ksiądz stanął. popatrzał, wziął w ręce głowę siostrzeńca i pocałował go — uśmiechając się.

— Widzisz moje dziecko — i to znamię wieku, niechcieć dysputować nawet... Ja gdym miał twoje lata, chryplem od gorączkowych rozpraw, tyś sceptyk. fatalista — powiadasz sobie — księdza nie nawrócę, on mnie nie przekona. po co gębę studzić! nie prawdaż?

Julek się roześmiał.

— A co? nie tak? nieprawda, młody filozofie? — dorzucił wesoło. — No, dobrze... mówmy o czem innym... Przypuszczam żeś uniwersytet dokończył, egza-

mina zdał, stopień osiągnął a nawet się wydoktoryzował — co dalej?..

Bystro zamienili spojrzenia. Julek wstał z ławki jakby iskrą jakąś wewnętrzną zażegnietą.

— Tu niema co robić! — zawołał — doktorów mnóstwo, kraj ubogi — albo pojedę do Rosyi albo do Ameryki... Książdz zamilkł i po chwili rzekł znowu:

— Gdybyś mi był powiedział, że o chlebie i wodzie do Ameryki lub do Rosyi chcesz jechać, dla studyów, dla nauki nowej, dla odkryć! o mój Boże! przykłaśnałbym, ale w twoim wieku myśleć już o zbieraniu grosza, o sprzedawaniu tego co tylko co nabyłeś... o opuszczeniu kraju... To smutne...

— Jam zawsze myślał, że ty tu sobie u nas w miasteczku osiadziesz. Doktora blisko nie mamy, apteka jest, chorych pełno... Praktykę na chleb wystarczającą miałbyś pewnie, dworek byś sobie najął, potem mógł i kupić i żylibyśmy tu cicho, święcie po bożemu... przykładnie... a ja, miałbym pociechę na was patrzeć...

— Ale kochany wuju... jabym tu zardzewiał! zawołał Julinsz, zapomniałbym wszystkiego...

— Dla czego? książki mieć możesz! do Berlina mógłbyś pojechać śledzić każdą nowość i wynalazek, praktyk byś miał i na wsi podostatkiem... nierozumiem! Alboż to złe towarzystwo, ja, matka, nasz swiatek ubogi a pocziwy — i dwory szlacheckie i pańskie...

— Nie! nie! ty bo chcesz koniecznie robić fortunę. Julek się roześmiał.

— A gdy?

— Po mojemu, moje dziecko, byłbyś na fałszywej drodze — odparł książdz. — Kiedy się pracą zdobędzie

grosz, dobry jest, wiele nim pożądanego i dobrego uczynić można... ale nie mieć innego celu w życiu, i to tak za młodu, nad robienie grosza — fałszywy kierunek... To owa mythologiczna beczka Danaid do napełnienia. A no — dość, dość, bo ja cię chcę kochać a nie sprzeczać się z tobą. Wy dzieci waszego wieku, biedne, biedne jesteście...

Słońce się chyliło ku zachodowi... ksiądz Piotr przypomniał sobie wieczorny brewiarz i poszedł szybko do sąsiedniego pokoju, wynosząc go z sobą już złożony na nieszpornem nabożeństwie.

— Przepraszam cię, muszę mój brewiarz odmówić... zatem do zobaczenia... pochodzę w ciszy moich starych drzew na cmentarzu i pomodłę się...

Już zchodzi z ganku. gdy się jakby myślą poruszony odwrócił.

— Widzisz — rzekł — co to między nami za różnica... ty się pewnie śmiechasz z tej mojej regularnej. do godziny przywiązanej modlitwy, wy tego także nierozumiecie, że dusza ciągle spętana tego życia kalem i prozą, potrzebnje pokarmu modlitwy, godziny, w którejby się podniosła wyżej ku nieśmiertelnym rzeczom... Hygiena duszy. mój doktorze, wymaga tego... jest to jakbym z dusznej izby wyszedł na świeże powietrze...

Uśmiechnął się do milczącego Julka i żywym krokiem poszedł, otwierając blizką furtkę na przyległy cmentarz pod kościołem.

Juliek zamysłony, podparty na łokciu, siadł na ławce. oczy wlepił w miasteczko, które ztąd prawie całe widać było i zadumał się.

Niedano mu jednakże długo tu pozostać samemu... Drożyną od miasteczka wiodącą szedł powoli mężczy-

zna otyły, w okularach, niemodnie ubrany, ale z pewnym wykwintem, znać człek zamożny. Może też idąc do plebanii trochę się i przybrał, bo strój był nadto świeży na codzienny, kapelusz popielaty jak z igły. kamizelka pikowa biała, a na palcu ręki, której brakło rękawiczki, ogromny sygnet połyskiwał, rodzący podejrzenie, że go dla powagi z szufladki do-
byto.

Fizyognomia tego przychodnia kazała się w nim domyslać bardzo praktycznego człowieka; twarz była myśląca na chłodno, roztropna. oczy bystre, usta zwięzłe i nie obiecujące zbytnej szczeroty... Kroczył zamyślony i posyłał wejrzenie na wszystkie strony, jakby rozmierzał plac boju. Szedł wolno, niekiedy nawet zatrzymując się i ważąc może co ma mówić i jak się znaleźć powinien. Odbijało się to w całej postawie, która to pokorną się stawiała, to nieco siebie pewniejszą. Bystre oko postrzegło znać w ganku siedzącego Juliana, który bodaj myślał się cofnąć zobaczwszy gościa, ale już było zapóźno.. Ruszył się tylko na ławce i z wyrazem zafrasowania i przymusu pozostał.

Równocześnie prawie, gdy już na ganek wchodził ów jegomość, z plebanii wyszła nie młoda, bardzo nbogo i skromnie ubrana kobieta, z wyrazem słodczy i szczęścia na twarzy... Pierwsze jej wejrzenie padło na chłopaka i kroki zaraz skierowała ku niemu. lecz nim zdołała przemówić, na pierwszym schodku ze zdjętym kapeluszem, ocierając łysinę stanął gość i uśmiechając się pozdrowił głosem:

— Dobry wieczór! państwu dobrodziejstwu! a! i pan Julian!...

Otworzył ku niemu ręce obie, jakby dla uścisku... Julek wstawszy powoli poszedł jedną z tych dłoni po angielsku ująć dość obojętnie. — Starszka postąpiła także i powitała go.

— Jak się tam pan ma. panie Ostójski... czy zdrów? czy zdrowi wszyscy?

— Dziękuję serdecznie... bardzo dziękuję. do nówek upadam... a ksiądz Kanonik?

— Mój brat przy swoim brewijarzu, to jego godzina, a tej on dla nikogo w świecie nie opuści...

— Dawno pan Julian przyjechał? Nic nie wiedziałem?

— Wczoraj! wczoraj! jeszcześmy się nim nacieszyć nie mogli, nagadać z nim nie mieli czasu... Siadaj że pan. kochany panie Ostójski...

Wciąż usmiechając się do pana Juliana. gość przysiadł na ławce — Julian był niewiadomo czem trochę pomieszany i posepny.

— Coś mi pan Julian nie wyśmienicie wygląda — rzekł przybyły — mizernie, blado... to to powietrze miejskie nic nie warte... wędzi człowieka... tu u nas na wsi, odżywi się i odrumienieje.

— To nie powietrze — pochwyciła matka — ale nauka! nauka! Co też oni pracy mają! On się ują zamęcza, to pocziwe. dobre chłopczyśko nasze, chciałby i co prędzej nauki skończyć i nie dać się nikomu wyprzedzić...

— Ale tu u nas książki precz... i odpocząć trzeba — przerwał Ostójski — tak! tak! my tu pana rozruszamy i rozbawimy...

— Gdybym ja na to czas miał — odezwał się jakimś głosem niepewnym Julek — ale ja choć na ferye

przybyłem, stosy ksiąg i papierów musiałem przywieźć z sobą... a pracować mi trzeba może więcej niż w mieście...

— Ale pfe! co znowu! co znowu! — oburzył się Ostójski — na to nie pozwolimy... ani pani dobrodziejka, ani ksiądz Kanonik... ani ja... jako stary przyjaciel domu.

Julek skłonił się dziękując, ale dodał zaraz...

— A kiedy mus...

— Jak to się ślicznie składa — niby nie słysząc tego dodatku. odezwał się Ostójski — ja nic nie wiedząc o przybyciu kochanego pana Juliana, szedłem tu prosić księdza Kanonika i panią dobrodziejkę na obiad do mnie. na łyżkę barszczu... Nie spodziewałem się, że będę miał tak miłym gościem jednym więcej.

To mówiąc, poszedł i w obie szerokie dłonie ujął rękę młodzieńca, który kłaniał mu się zakłopotany. Odmówić nie było sposobu, a widocznie przyjmować nie bardzo miał ochotę.

W tej chwili z za otwierającej się furtki dał się słyszeć głos Kanonika...

— Kochanego pana Józefata... witamy. Jak się masz stary? jak się masz! widzisz... doczekaliśmy się Julka... widzisz... Po twarzy matki można to poznać było z daleka. a sądzę że i po mojej. Ja też, choć się z nim zawsze kłócić muszę, ale go kocham bardzo.

Uścisnęli się z panem Ostójskim serdecznie.

— Jak się masz stary! powtórzył proboszcz — co u was słyszać!

— Cóż może być słyszać oprócz kłopotu gospodarского... rzekł Ostójski, gdyby nie na plebania, nie

wybrałbym się z domu, taka teraz robota w polu...
człek być musi nie odstępnie. bo za oczami...

Machnął ręką.

— No—ale chwała Bogu, dobrze?—spytał Kanonik...

— Tak, ani źle ani dobrze — odezwał się ręką gładząc łysinę stary — jakoś się tam wlecze.

— Inaczej na świecie nie może być!... uśmiechnął się ks. Kanonik... — a co się tyczy obiadu — dodał. mój dobrodzieju — wiesz, ja zawsze sobie waruję jedno — jeżeli może dokąd nie zawołają... bo obowiązki przedewszystkiem.

— To się rozumie...—kłaniając się szepnął Ostójski.

— Chorych mamy dosyć... bo to tu ziemnice panują i przechodzą w różne gorączki nie dobre — mówił Kanonik... — umiera ludzisków dosyć. rodzi się też nie mało, Bogu dzięki... no! i nie próżnujemy...

Gdy to mówili, w ganku nagle zjawiła się postać nowa. od której jakby chłodem śmiertelnym powiało. Zobaczywszy ją w progu, wszyscy oniemieli. wesół ton rozmowy nagle się urwał... Ostójski nawet spoważniał... Po cichu wszedłszy, bo nikt nie słyszał go idącego, stał z miną pokorną ale kwaśną, żółty, suchy. chłudy. mizerny mężczyzna młody jeszcze, nie milej twarzy, na której wyraz jakby niechęci, zazdrości jakiejs i szyderstwa tajonego się malował. Można było odgadnąć na pierwsze wejście, iż stosunki jego w tym domu nie były zbyt przyjazne, acz jawnie poufałe i blizkie być musiały. Oparł się o stół i oczy spuściwszy stał z zaciętymi wargami.

Typ to był człowieka zrodzonego do martwienia siebie i drugich, który do życia potrzebował walki. sporn... ujadania się, opozycji. Czarne jego oczy ma-

łe latały niespokojne niedając się schwytać, bojaźliwe razem i pełne złośliwości... w ustach skrzywionych jad i gniew zdawał się skryty. Młode czoło całe było już pomarszczone, a jakaś namiętność czy wewnętrzna męczarnia pofałdowała mu twarz i koło ust poorwała krzywe drogi któredy gniew drgające mięśnie pościagał.

Samo przybycie księdza Wikarego, gdyż on to był — wywarło przykre na wszystkich wrażenie, rozmowa się przerwała, oczy skierowały ku niemu, czekano w milczeniu jakimś odezwania się jego; domyślając że darmo nie przybył.

— Niech ksiądz Leon siada — rzekł Kanonik...

— Nie mam czasu siedzieć — odezwał się głosem suchym ks. Wikary — przybyłem tylko oznajmić księdzu Kanonikowi, że do chorego jestem wezwany...

— Mogę i ja jechać... rzekł żywo Kanonik...

— Stara Stachowa życzyła sobie bym ja przybył — odparł spuszczać oczy Wikary.

— Jeżeli sobie życzyła.

Ksiądz Kanonik się zbliżył do mówiącego, który zniżył głos i po cichu coś z nim poszeptawszy z przesadną pokorą schylił się do jego ręki i co najprędzej wyszedł.

Wszyscy lżej odetchnęli. —

Ostójski posłał za nim wzrok i poruszył głową...

— Żebyś się pan prędzej wydoktoryzował — rzekł cicho do Juliana — a wyleczył ks. Wikarego z tej zółci... bo to taki człek chory... —

Kanonik udał że nie słyszy, matka Juliana także; przyszły lekarz się uśmiechnął... zadrzierzgnięta w ten sposób rozmowa nie poszła dalej — Ostójski po-

patrzył po wszystkich i zamilkł. W chwilę potem wziął kapelusze ze stołu i zabierał się do odejścia.

— A no! więc — czekam z obiadkiem — odezwał się kłaniając i rękę podając z kolei — o godzinie pierwszej waza na stole...

Kanonika pocałował w ramię. panią siostrę w rękę, Julka może miał ochotę w twarz, ale medyk zdała tylko dłoń uściśnął.

Potem szybkim krokiem ruszył pan Ostójski z plebanii do miasteczka... Ksiądz za nim długo popatrzywszy, westchnął i ujawszy znowu swój brewiarz wszedł do wnętrza...

Ksiądz Leon mieszkał obok plebanii w nowszym niewielkim domku, który wikaryą nazywano. Od niedawna przysłano go Kanonikowi w pomoc, nie pytając wcale czy mu ten towarzysz i współpracownik będzie po myśli. Zdaje się, że młody duchowny miał silne w górze plecy i że go przeznaczono na lepsze i wyższe jakieś miejsce, a tymczasowo tylko dano mu tutaj przytułek. Widać było po nim, jego zgryźliwem usposobieniu, sposobie życia, humorze i obejściu się z Kanonikiem, iż czuł się podrzędnym owym stanowiskiem upośledzony. Mówiono, że był bardzo uczony, oprócz bowiem seminaryum dyecezanego i akademii w Niemczech, jakiś czas był na studyach w Rzymie i z tamtąd powróciwszy czuł się powołanym do sterowania temi, którzy w propagandzie i Sapienzy nie zaczerpnęli tradycji. Sądził, że użytym zostanie przy stolicy Biskupiej lub samym pasterzu, że osiągnie profesurę w szkole duchownej, a skończyło się na tymczasowym wikaryacie i to jeszcze przy Kanoniku, z którym trudno mu się zgodzić było.

W tych dwóch ludziach dwa przeciwne systemy i wykłady nauki chrześcijańskiej się nosobiły. Kanonik brał z niej wszystko co było miłością, dobrocią, słodyczą, przekonaniem... Ks. Leon wybierał z upodobaniem: grozę, strach, surowość nieubłaganą. Pierwszy z nich pociągał ku sobie otwierając ramiona ku ludziom, serce dla ludzi; — drugi piorunami ciskał, przerażał i strachem chciał świat prowadzić.

Dla Kanonika litera była równie świętą jak duch ewangelii, lecz z faryzeuszowską drobnostkowością nie przywiązywał się do niej; spokojny będąc w sercu, bo ją pojmował z miłością wielką; dla ks. Leona litera była wszystkiem, a po za nią nie widział nic. Różnili się też wielce i w innych swych pojęciach obowiązków. świata, ludzi... a najbardziej tem, że Kanonik był otwartym i szczerym, ks. Leon zankniętym, napuszczonym, i wiecznie jakby rozgniewanym.

Niewdziano go nigdy z twarzą wesołą. Z aubony grzmiał i piorunował jakby nie słodkiego Jezusa, ale groźnego Jehowy był kapłanem. Po kilku pierwszych próbach, nawet w dniu odpustu i ścisku konfesyonał, w którym ks. Leon spowiadał był pusty, gdy do Kanonika tłumem się cisnęli ludzie. To zwiększyło jeszcze gniew wewnętrzny ks. Wikarego, który utrzymywał, że parafia była zdemoralizowaną, popsutą i potrzebowała wielkiego rygorn, aby wyjść z tego rozprzeżenia. Nie tał on się z zarzutami przeciwko Kanonikowi i ten wiedział dobrze, iż nie miał w nim przyjaciela, ale go wymawiał, tłómaczył i nie miał mu tego za złe.

— Bo to, widzicie — mawiał cicho — młody jest, jak zwykle gorliwość go unosi, co rzecz chwalebna...

Przy tem czył się w Rzymie, ma nauki wiele. a myślny tu zardzewieli i od lat długich Analectów nie czytujemy, w wielu rzeczach lepiej od nas poinformowany... Dajcie mu pokój...

Dano mu w istocie tak dobrze pokój, iż nikt się do niego nie zbliżał, nikt nie żył z nim i Wikary został ze swą zgryźliwością odosobniony zupełnie. Obejście jego z ludźmi tem bardziej jeszcze stało się szorstkie. Nie można mu było w pełnieniu obowiązków nic zarzucić. a życie prowadził wielce przykładne. Jedyńm domem otwartym dlań tutaj był, tak zwany pałac dziedziców hrabiów Skwirskich... Miasteczko, kilka wiosek i folwarków należały do tej rodziny, niegdyś możniejszej jeszcze, teraz dość bogatej. ale jak powiadano, nieopatrzny zbytkiem goniącej ku ruinie. Rodzina ta. która za panowania Saskiego dopiero ze szlacheckiej wyniosła się na magnacką. i protekcją Augusta III dorobiła się tytułu, majątności, kolligacyi, znaczenia i imienia; acz polska nazwiskiem. zaledwie się nazwać mogła polską obyczajami i życiem... Jak wiele rodzin pańskich u nas, znosiła swój pierwotny grzech polszczyzny, będąc kosmopolityczną i nienawidząc wszystko. co wybitniej polkiem było.

Domysleć się łatwo, że wszyscy jej członkowie wychowali się lub nie w kraju albo nie przez krajowców, a starano się im od dzieci nadać wyższy polor, poczucie swej wielkości i pogardę polonizmu. którego lękano się jak ognia. Żaden z członków nigdy do partyotycznych szaleństw nie należał; wszyscy mieli sobie wpojona nienawiść rewolucyi, demokracji i chanwinizmów wszelkiego rodzaju. Katolicy byli wielce gorliwi, ale na sposób nie polski, to jest nosili na so-

bie skorupkę katolicką wielce obcisłą, nie czując się obowiązauemi nią do niczego więcej prócz praktyk kościelnych, w życiu nie wiązali się niczem... znajdując, że na to mieli dyrektora sumienia i spowiednika, ażeby ich rozgrzeszał.

Żyjąc po większej części za granicą, bo Skwirscy w kraju mało mieli stosunków, żadnego związku z życiem jego. najwyższą wzgardę dla swych współziomków i największą obojętność na losy kraju i prowincyi, w której niby to zamieszkiwali.

Rodzina składała się z hrabiego, który był sławnym na europejskim turfie sportsmanem, a lubił się włóczyć po świecie, po dworach, po wodach i stolicach...; z samej hrabiny, która miała dwór swój i żyła całkiem osobno w wielkim świecie paryzkim, naostatkiem z syna piastującego godność szambelana i bawiącego się bez różnicy w domu, za domem, byle zawsze w przyzwoitem towarzystwie duków i hrabiów, figur urzędowych i wysoko położonych. Młodszy syn był jeszcze w jakimś zakładzie OO. Jezuitów w Belgii, z kąd miał na dokończenie wychowania jechać do Londynu i Paryża.

Mimo upodobania w wędrówkach, trafiało się czasami, że któryś z członków dostojnej rodziny na czas krótki zawitał w ojczyste progi, szczególnie gdy się potrzeba było zaopatrzyć w ten nervus rerum, bez którego się nie podróżuje, nie bawi, a nawet trudno być przyzwoitym człowiekiem... Naówczas pałac zawsze gotów na przyjęcie państwa, stawał na odpowiedniej stopie, służba przywdziewała przepyszną liberyę, następowały polowania, kursa, bale, teatr francuzki, zabawy i rozrywki, o ile na uie nasz kraj bar-

barzyński i ubogi mógł starczyć. Niekiedy dla oryginalności zapraszano lordów, duków i znakomitości europejskie zachowawczego obozu. Długi były ogromne, majątek obciążony, wymagania przez to nie zmniejszały się wcale, można było przewidywać nieuchronną ruinę, lecz, jak zwykle w razach podobnych, życie na pańską skalę, śmiałość, pewna zręczność w prowadzeniu interesów oddalały chwilę fatalną, w której wszystko runąć miało.

Żaden z naszych magnatów nie wierzył nigdy do ostatka, ażeby mógł upaść. O pracy, o zajęciu się interesami, o jakiegokolwiek rachubie mowy nawet nie było. Trzymano do tego plenipotentą, który robił razem pańskie i własne interesa; a majątność była wydzierzawioną folwarkami. Właśnie pan Ostójski trzymał jeden z najznacniejszych.

Z kilku rysów poprzedzających domyśli się każdy, iż tu ksiądz Kanonik w wyszarzanej swej sutannie, źle mówiący po francuzku, nie umiejący w salonie przyzwoicie się znaleźć — zresztą mocno posądzany o tendencye demokratyczne, dobrze widzianym być nie mógł. Formy wymagały tego, ażeby w kaplicy pałacowej, w razie bytności państwa odbywało się regularnie nabożeństwo — wzywano na to ks. Wikarego, który od razu łaski sobie wszystkich zaskarbić umiał. Pokorny, ugrzeczniiony, znający Paryż. Niemcy i Rzym, co do ludu mający pojęcia zdrowe, nie bawiący się w zakładanie szkółek niepotrzebnych i sentymentalnych ochronek, głoszący zawsze, że oświata tylko w małej dozie i z ostrą religijną przyprawą ludowi jest potrzebną, aby nie mnożyła niebezpiecznego proletaryatu intelligencji — ks. Leon lubionym tu był

bardzo. Hrabina spowiadała się u niego i znajdowała go bardzo uczonym i wybornym dyrektorem sumienia, młody hrabia lubił z nim pogadać, a stary widział go z przyjemnością u swojego stołu. Równie dobrze był ks. Leon z plenipotentem hrabiów, którym był niejaki Margocki.

Przeszłość jego ciemna jakaś i nieodgadniona, w życie jego głębiej wejrzeć nie dozwalała. Zjawił się na horyzoncie przy dworze i osobie starego hrabiego, zrazn jako miły rezydent, doradzca i factotum. Pośredniczył w pożyczaniu pieniędzy u żydów i chrześcian, posyłany bywał gdy hrabia sam gdzie jechać sobie nie życzył, a w końcu z tego faktora wyszedł naturalnym awansem na pełnomocnika... Sama hrabina dosyć go też lubiła, a niemożna było nie lubić w istocie. Żadna rękawiczka nie jest podatniejszą od niego. Znać na nim było wychowanie wyborne, wielkie otarcie w świecie, pojęcie jego życia potrzeb, zamiłowanie zbytku i elegancyi, ton miał doskonały, trafność w postępowaniu niezmierną, a przytem — co w takim domu wiele znaczy — prezentował się tak pięknie, mówił, chodził, tańczył z takim szykiem arystokratycznym, iż hrabina często patrząc nań przez nieopnszczającą ją nigdy lornetkę, mawiała:

„Saves-vous, ja się zawsze muszę dziwić z kąd Margocki prend ce grand air. Nabrał go u nas, to pewno, mais l'avoir su se l'approprier si bien!“

Margocki zastępował gospodarza. bawił gości, urządzał partye, obmyślał zabawy, szukał pieniędzy, opędzał natrętów i przytem wszystkiem miał dobry humor niczem nie zachwiany... a choć nie zbyt młody,

powierzchność bardzo miłą. Łysina go nawet nie szpeciła. Ubrany zawsze wedle ostatniej mody, wyświeżony za interesami państwa jeździł z ich liberyą powozami i końmi najlepszemi; lubił się bawić na swoją rękę. zawsze w dobrem towarzystwie tylko, pił i grał jak niemożna lepiej. W kółku któremu się wyłącznie poświęcał, był, można powiedzieć, ukochany. Z wielu sobie podobnymi, okręcając się ciągle w dostojnem kole. sam miał się za pana. za arystokratę i za coś nad gmin lepszego. Nie krył się wcale ze swą wzdumą dla dorobkowiczów, dla ludzi nowych, dla... proletarjatu... Proletarjatem tu zwało się wszystko, co nie chodziło w białych rękawiczkach i nie mówiło po francuzku... Nikt też niemilosiernej nie szydzi, z naszych sansculottów, liberałów i demokratów patryotów i polonusów.

Słowem Margocki był stworzony dla hr. Skwirskich, jak oni dla niego. Jak ich interesa robił, sądzić było trudno — to pewna że. mimo olbrzymich często w podolaniu im trudności, zawsze sobie jakoś dał radę. Ks. Leon był z nim bardzo dobrze. łączyła ich wspólna nienawiść ku Kanonikowi—którego Margocki wprost—czerwonym i rewolucjonistą nazywał... W czasie pobytu hrabiostwa i w czasie ich niebytności także, plenipotent zamieszkiwał jedno ze skrzydeł pałacu, gdzie życie wiódł co się zowie wystawne, wygodne i wesołe. Miał cały dwór, kuchnię i stajnię na usługi.

Dobrze o podał od pałacu, parku, stajen i zabudowań dziedziców. stał folwark gospodarski, dla samej pompy wspaniale wymurowany i zdala bardzo okazały. Pół drewniany, na pół murowany dworek

skryty za zabudowaniami temi, otoczony sadem owocowym, był mieszkaniem pana Ostójskiego, dzierżawcy. O ile rezydencya hrabiowska piękną była i artystycznie urządzoną, o tyle tu gdzie się mieścił dzierżawca, nic dla uprzyjemnienia mu życia nie przedsięwzięto. Szczera, surowa proza prawdziwej pracy otaczała dworek nie powabny, a nawet nie bardzo wygodny. Dopominał się pan Ostójski o niektóre ulepszenia, ale go zbywano to tem to owem, i na żadne zezwolić nie chciano. Szczęściem nie mając licznej rodziny, bo był wdowcem, a jedna tylko córka mu z kilkorga dzieci pozostała i jedna siostra niemłoda panna... obywatł się tem co miał. My tu, powiadał, nie dla przyjemności żyjemy—to warształ do robienia pieniędzy... dobrze że się człowiek do tego przywiązać nie może.

Ale, choć to się tak mówiło—Ostójski od lat kilkunastu dzierżawił folwark, przy każdym odnowieniu kontraktu zaprzysięgał się, iż dłużej trzymać go nie chce, potem ze strachu przenosił, kłopotu i z żalu po miejscu—zostawał. Ostójski był dobrym i pracowitym gospodarzem, a co lepiej, poczciwym człowiekiem. Żył trudem i kłopotami na które narzekał, a których gdyby mu zabrakło... z nudy by umarł pewnie. Drugą życia jego podporą była—córka jedynaczka. Kochał ją nad wszystko na świecie, był dla niej ojcem, matką, przyjacielem, sługą... i psuł dziewczę jak tylko mógł najśłodziej i najpokorniej. Czego Zośka chciała... to musiało się stać, bądź co bądź... panowała tu Zośka... rządziła Zośka... rozkazywała Zośka... słuchali wszyscy...

Nie popsuł jej wszakże poczciwy ojciec, bo dziecko było dobre, rozpieścił tylko i roztkliwił.

Zosia wychowaną była z największym staraniem, miała najlepsze guwernantki, najdroższych metrów, dla jej przyjemności ojciec nawet, zdawszy gospodarstwo na łaskę Bożą, jeździł raz trzy miesiące po Europie, aby jej Paryż, Włochy i Szwajcaryą pokazać. Zosia była piękną bardzo, silną, zdrową, czarno-brewą, polską, wesołą, ruchawą, swawolną, a umiała się przymilić bez załotności nie tylko ojcu, ale każdemu kto ją widział. Czuć w niej było serce szlachetnej polskiej dziewczyny, otwarte ku wszystkiemu co dobre, piękne, wzniosłe i pocziwe... Z wielką pracą uczono ją grać, śpiewać, rysować, grała też, śpiewała i rysowała wcale ładnie, ale nie była artystką. Wolala książkę, poezję, opowiadanie, ogródek i kwiaty.

Jakby dla pohamowania tej roztrzepotanej ptaszyny, siostra pana Ostójskiego, panna Klara, osoba lat pod pięćdziesiąt mająca, była niesłychanie sztywna, poważna, wysznurowana, wyszukana w mowie, ostrożna w postępowaniu i na pozór zimna. Ona tu przestrzegała przyzwoitości, stanowiła wędzidło i hamowała ojca i córkę często zbyt formy zaniedbujących.

Panna Klara niegdyś u hrabiostwa X... przebywała dosyć długo jako towarzyszką i przyjaciółką hrabiny, z tego staroświeckiego domu wyniosła wspomnienie wielu form i zwyczajów, których teraz niezmiernie ściśle przestrzegała. Ostójski wierzył w nią i słuchał jej do pewnej miary, to jest o tyle o ile Zosia pozwoliła. Zosia kochała ciocię, ale troszeczkę się z niej czasem śmiała i nie wierzyła, żeby tak surowo należało pilnować zastarzałych jakichś zwyczajów.

Siostrzeniec księdza Kanonika pan Julian, któregośmy poznali już, wychował się od młodych lat na

probostwie. bo gdy matka jego owdowiała i nie miała się gdzie podziąć, brat pospieszył z nią się dachem i chlebem podzielić. A że od probostwa do folwarku nie było i ćwierci mili, dzieci widywały się prawie codzień, bawiły z sobą i przywykły do siebie... a później??—może pokochały... Ze strony Juliana miłość ta w prędkie powstrzymana powagą dorosłego młodeńca, potem dumną ubogiego chłopca. skryła się gdzieś w głąb serca i może w nim zasnęła... Zosia, o czem ojciec najlepiej wiedział, pozostała wierną pierwszemu uczniu i choć go nie objawiła zbyt wyraźnie, nabrało ono z czasem siły, z którą już teraz trudno walczyć było. Choć córka pana dzierżawcy mogła mieć, jak nawet sam pan Margocki ją cenił najmniej sto tysięcy talarów, licząc w to piękne gospodarskie remanenta—a pan Julian nie miał złamanego szeląga, ojciec zawczasu postrzegłszy skłonność w córki sercu, byłby z największą ochotą na wydanie jej zezwolił. — ale... ale—pan Julian, szczególnie od lat dwóch, zupełnie się jakoś usunął, ostygł i trzymał tak na uboczu, jakby chciał zerwać ze starymi przyjaciółmi.—Zosia zmuszona kryć się ze swem przywiązaniem, nie myślała wcale narzucać się towarzyszowi młodości, ale z dziecinną naiwnością i wiarą powiedziała sobie po cichu: będę czekała, nie pójdę za męż. musi moją miłość uczuć i ożenić się zemną. Tak jakoś była tego pewną, że chłód grzeczny okazywany jej przez Juliana. wcale ją smutkiem nie nabawiał... może? któż tam zrozumie serce kobiece?

Ona to pierwsza dowiedziała się jakoś bardzo zręcznie o spodziewanym Juliana przyjeździe, o przybyciu jego... i dała zręcznie jeszcze do zrozumienia

ojcu, że powinien był Kanonika z siostrzeńcem na obiad zaprosić. — Posłuszne ojczyisko zrozumiawszy o co chodzi — powlekło się na probostwo i rozkaz spełniło.

Nazajutrz, dzień był przedwcześnie jesienny i deszcz mżył szary i chłodny. ale w naznaczonej godzinie Kanonik pod ogromnym starym szafirowym parasolem, podkasawszy sutannę ciągnął na folwark, a za nim w ślad pod drugim podobnem przykryciem. syn prowadził matkę... Zdała już Zosia stojąca w oknie zobaczyła gości, chciała wybiec na ganek... Szczęściem stała na straży ciocia Klara i postrzegłszy ruch, zawołała żywo.

— Zosiu! na miłość Boga! już ja wiem co chcesz zrobić—proszę cię, siądź do krosienek... nie wyglądaj nawet oknem.. ale proszę cię i zaklinam! Co ten młodzieniec sobie pomyśli? Mężczyzni są pełnymi pychy i samolubstwa. dobrą jest rzeczą, te zgubne w nich skłonności lekkomyślnem postępowaniem rozniecać?

Ciocia mówiła tak zawsze stylem książkowym i z retoryką wielką. a zwłaszcza gdy nieco była poruszona. Zosia śmiechnęła się zarumieniała i do krosienek usiadła, uczuła słuszność postrzeżenia. jednakże napróżno szukała igły i włóczki i kłębuszka, jakoś się jej w oczkach mąciło.

— Kochana, droga Zosiu... ciszej dodała ciotka — zaklinam... bądź chłodną! dziecko moje! pojmuję szlachetną twą przyjaźń łączącą cię z towarzyszem lat wiosennych, lecz to jest—mężczyzna: Poskrom nczucie i nieokazuj mu go, abys się zbyt niewydala...

Tu cioci wyrazu zabrakło, a w sieniach dało się słyszeć szastanie nogami i oczyszczanie się z błota, a

potem głos rozczulony pana Ostójskiego, który naprzeciw wyszedłszy wołał.

— Ale proszę, proszę... deszcz mi dziś figła podwójnego wypłatał, bo i państwo zmokliście i kopy mi w polu mokną.

Zosia spuściła była posłuszną główkę nad krosienka. ale wytrzymać długo nie mogła, zdrowe rady cioci zapomniane zostały. zerwała się, furknęła i z bijącym sercem stanęła naprzeciw drzwi czerwona jak wisienka. Nim ciotka pospieszyła stanąć w opozycji, otworzyły się owe drzwi, weszła matka Juliana, Kanonik a nakoniec—on..

Zosia jego tylko widziała. wyciągnęła rękę zapomniawszy że ostatnią razą, na Wielkanoc bardzo był dla niej zimny—uśmiech opromienił jej usta.. Pan Julian wchodził blady, bardzo blady, a zimny jakiś i krochmalny jakby obcy... oczy ich spotkały się, Zosia teraz pobladła. a on się lekko zarumienił—przywitanie było tak ceremonialne, iż cały humor odebrało biednemu dziecku. Z uśmiechem osmtniałym siadła przed swojemi krosienkami szukając wzroku Julka napróżno. Młody doktor patrzył wszędzie gdzie nie było potrzeba, na nią nie śmiał. Ostójski, który szpiegował niepokojny, także pochmurniał—i powiedział sobie w duchu: to głupi chłopiec!

Z tego pierwszego wrażenia Zosia ochłoneła jakos prędko, rumieniec zwolna na twarzyczkę wrócił, oczy zamglone rozjaśniły się, nsta się uśmiechać poczęły. postanowiła niezważać na upór tego niewdzięcznika, który ani spojrział na nią. Oczywiście panna Klara starała się jej wmówić pohamowanie, lecz napróżno; oczów można było nierozumieć i można ich było nie

słuchać... Zosia z krzeselkiem przysunęła się śmiało ku Julianowi i szepnęła żywo:

— No, jakże się pan ma? zaledwie raczyłeś się ze starą przyjaciółką przywitać?...

— To go tak te książki zamęczyły,—odpowiedziała dosłyszawszy pytanie matka...—przyjechał pracą przybity zupełnie, osowiały... chcieliśmy mu poodbierać te książeczyska, ale nie daje...

— Wiesz pan żeś nawet zmizerniał.—odezwała się żywo Zosia—myślałam że może byłeś pan chory...

— O! nie pani! tylko zestarzał. — rzekł Julian... —a w istocie pracy mamy dosyć.

— Tego to ja panu zazdroszczę, — dodała Zosia, — boć to miło być msi mieć pracę i cel tak wielki, naukę dla pożytku bliźnich... zresztą samą wiedzę... która nęci i przyciąga.

— Wszakże każdy się może uczyć i pracować? — rzekł Julian.

— Do czego? proszę pana. — przerwała Zosia — po co? na co się komu zda moja nauka. a nawet i mnie? Moje powołanie wiejskiej gosposi, ciasnym się ogranicza horyzontem...

— Dla czegoż wiejskiej tylko gosposi? —powoli począł Julian,—wszak panią zapewne i inne czeka życie, powołanie... i świat zapewne szerszy.

— Tego ja nie chcę! — odezwało się dziewczę: — dziękuję bardzo! — nigdy bym daleko nie chciała od mego gniazdka odlecieć...

— To dobrze, że mu to mówisz. moja Zosiu. może go to nawróci,—wmięszała się matka.—bo on już nam prawi, że się gdzieś wyrwie do Rosyi lub do Ameryki...

Zosia w pierwszej chwili posłyszawszy to. pobla-
dła trochę. spojrzała na towarzysza i powiedziała sta-
nowczo:

— Niech sobie mówi, my go nie puścimy! niepraw-
daż pani?

— Żeby to można tych uparciuchów nie pnszczać?
westchnęła matka,—ale to nas słucha tylko dopóki nie
włoży bucików, a potem... temi bucikami nas zastuka...
i już nic nie pomaga...

Julian milczał, bawiąc się rękawiczką. potem po-
patrzył na matkę i odezwał się do niej cicho:

— Musimy być posłuszni naszym przeznaczeniom...

— A mnie zdawałoby się, — żywo podchwyciła Zo-
sia.—że właściwie przeznaczeniem człowieka jest. na-
bywszy nauki, wypłacić się nią ziemi co go wychowa-
ła... własnemu krajowi...

— Jest to bardzo piękne jako teoria—rzekł Julian
—cóż kiedy kraj ma nas za wielu i naszych służb nie
potrzebuje...

— Któż to paun mówił?—odezwało się dziewczę.

— Patrzę i widzę. — szepnął Julian ciągle trzyma-
jąc się z powagą wielką jakby na wodzy — ale po cóż
to mówić o jakichś tam czezych może projektach?

Niewiadomo z jakiego powodu, może widząc iż
panna Klara milczy trochę osamotniona. matka Julia-
na wstała i poszła ku niej na drugi koniec pokoju.
Ostójski z Kanonikiem rozmawiali po cichu u okna
nieco opodal. tak. że Julian został się sam z Zosią
przy jej krosienkach. Patrzała na niego prawie z po-
litowaniem jakimś.

— Mój panie Julianie,—rzekła w krótkce,—nie uda-
waj że starego Eskulapa, połóż ten nieszczęsny kape-

lusz i rękawiczki. siądz i rozmówmy się po staremu... bo się będę gniewać. Nie dałam przecie żadnego powodu do takiego nakrochmalenia względem mnie. Pamiętasz pan jak to niegdyś pogniwaliśmy się o kasztany... cośmy całe dwa dni bokiem chodzili do siebie. czyżby znowu jaki niewidzialny kasztan wpadł między nas?

Julian mimowolnie oczy podniósł i uśmiechnął się—Zosia roześmiała się także.

— Doprawdy, zdziczyłaś mi pan w tym Berlinie?

— Mówilem pani, zestarzałem...

— No, to prędko odmłodniej! my tu nawet starym nie pozwalamy się ukwaszać... To wolno tylko ogórkom, pardon de l'expression. — Jaka szkoda — szczebiotała ciągle,—ten nieznosny deszcz nie pozwala mi pokazać pani, jak wierna naszym wspomnieniom dziecięcym. uprawiam starannie nasz ogródek i tę grzędkę na której razem sialiśmy owe nasionka polnych kwiatków. które nigdy nie wschodziły... Miałoby to tak być później w życiu i z uczuciami, że posiane w młodości, wyrastają z chwastem? Ostatnie słowa wypowiedziała ciszej i prędko. Julian drgnął. popatrzał na nią. spuścił oczy i począł bojaźliwie.

— Niech pani wierzy, iż przyjaźń i szacunek dla niej nigdy w tak niewdzięczny sposób się nie zmienia.

— Szacunek może być poważny i zimny,—przerwała Zosia, — bo to staruszek. ale od przyjaźni. już dla tego że jest rodzaju żeńskiego, wymagałabym trochę więcej ognia... swobody...

Przerwała nagle i poczęła cicho:

— Panie Julianie, bądź pan po dawnemu. zapomnij

o Ameryce, rozgość się u nas. Pojedziesz sobie kiedy zechcesz, a tymczasem...

I znowu daremnie oczekując odpowiedzi, zaśmiała się, zaczynając z innego tonu.

— A! to się już domyślam... zwierz mi się pan! Zakochałeś się w Berlinie... dla tego jesteś tak smutny!

— Zgadłaś pani, śmiejąc się także, zawołał Julian.

— W kim?

— W prześlicznej trupiej główce, która mi do studiów służyła...

Zosia pobladła.

— Jakto? pan? i na panu to nie czyni wrażenia? trupia główka? może doprawdy kobieca? i nie wiesz pan czyja?

— Że kobieca, to pewno, — odpowiedział Julian, — i musiała być młodzinchną. bo wszystkie w niej ząbki jak rząd perelek siedzą...

Zosia się wstrzęsła...

— No, to w istocie rozumiem teraz, że po takich przysmakach. życie i ciepły oddech jego obrzydnąć, zubożeć mogą. W istocie miłość nauki, którą pan nazwał trupią główką, zabija inne uczucia... ona jest także zazdrośną... Tylko, mój panie Julianie, jestli na świecie taka trupia główka, coby żywej muszki była warta!

Otworzyły się drzwi do jadalnego pokoju i panna Klara ozwała się patetycznie.

— Niechże państwo raczą... pokarmy już są na stole... pokarmy już są na stole... Służymy czcigodnym gościom naszej strzechy...

Wszyscy byli tak nawykli do uroczystych prze-

mówień p. Klary, iż nikt się nie roześmiał. Kanonik podał jej rękę. Zosia sama wyciągnęła rączkę Julianowi, ojciec poszedł sam.

— Siadaj pan przy mnie! — rzekła — chce się z nim nagadać — bo potem nierychło pana złapię... a ja, że niemam żadnego takiego przyjaciela o perłowych ząbkach, staremu jestem wierna...

Na twarzy młodego medyka, która się dziwnie mieniła, znać było jakby pasowanie się z sobą, utrzymał się wszakże z powagą, i odpowiedział tylko.

— Wierz mi pani, że choćbym do Ameryki pojechał, jej miłych słów niezapomnę...

— Jakkolwiek by mi przyjemnem było, żeby moje słowo zawędrowało do antypodów, wesoło zawołała siadając Zosia — wołałabym żebyś i pan został tu z nami i ono. Ależ to żarty te projekta podróży? nieprawdaż?

— Doprawdy, ja jeszcze sam nie wiem, tysiąc mi snuje się po głowie planów i projektów...

Rozmowa stała się powszechniejszą, bo Ostójski wprowadził coś de publicis o wyborach blisko następujących...

— Otóżem ciekaw jak się one nam udadzą — rzekł.

— Czemu się udać nie mają — przerwał kanonik — pocziwy lud nasz, ma dziwne poczucie swych obowiązków, ani go ustrasza groźba, której często używają — ani odwiedzie bieda... od spełnienia ich...

— O mój Boże — zawołała Zosia, księżu Kanoniku, przy obiedzie o polityce mówić, niema nic niezdrowszego, wszystko się w ocet obróci...

— Ma panna Zofia słusznosc! — zaśmiał się Kanonik, — mówmy o czem innem — co nowego?

— Otóż jest nowina i dla nas bardzo ważna — odezwał się Ostójski — pani hrabina z Paryża przybywa na parę podobno miesięcy do nas... Mówią, że i młody hrabia zjedzie... Ożywi się nasz dwór... który stoi pustkami...

— Ale, ale! pustkami — zaoponował Kanonik, a pan Margocki?

— No, tak aleśmy się z nim obyli — rzekł Ostójski — i zawsze to nie to, co hrabina... która lubi zabawy, towarzystwo... Gości będziemy mieli.

— A co nam po nich — mówił Kanonik...

— Przepraszam, mnie to bawi — zawołała Zosia — z mojego okna prosto widok na gościniec do pałacu... Jak to wszystko paradnie jedzie, z biczków pałą, karety i koczki się toczą, trąbki pocztowe grają... A te liberye!

— W istocie, Zosiunia ma słuszość — dodała panna Klara — te splendory są rozkoszą dla oka znużonego jednostajnością i monotonią wioski... a nie małą dla nas rozrywką...

— Jeśli młody hrabia przyjedzie — dorzuciła Zosia — jeszcze ładniej, bo występują konno, często cała kawalkata, amazonki, dżokeje w kurtkach ponsowych... Raz nawet gdy jechali na lisy, widziałam pana Margockiego we fraku ponsowym... a! jakież był doskonały!..

Zaczęła się śmiać.

— Proszę cię Zosiu — zgorszona odezwała się panna Klara — w tem niema nic śmiesznego, jest to zwyczaj łowców angielskich, iż przywdziewają ten strój powabny dla oka i odróżniający ich od pospolitego gminu...

Wszyscy zamilkli:...

— Żeby mi papa konia kupił i amazonkę sprawił — zawołała Zosia.

— Otóż masz! jeszcze czego! — ofuknął stary — tak! zapewne, żeby jeszcze uchowaj Panie Boże, koń poniósł, albo jaki przypadek... Takiemu trzpiotowi, wartogłowie jak ty, konno jeździć! Dajże ty mi pokój.

— A tatko mówi, że mnie kocha i dogadza mi — mruknęła Zosia — wszyscy państwo widzicie jak.

— Moja Zosiuniu — przerwała panna Klara — czy—niłam ci niejednokrotnie tę uwagę, iż jakkolwiek osoby wyższego towarzystwa pozwalają sobie konnej jazdy, nigdyby młodej dziewczycy nie życzyła ani jej po—żądać. ani się do niej zapalać... Dla niewiasty...

— Cóż Ciociu, kądział i wrzeczono? wszyscy się śmieli, ciocia trochę się uraziła.

— Wszystko co chcesz, byle nie koń i cygaro — rzekła żywo.

— Będę więc siedzieć przy krosienkach, a dla uni—kuienia pokusy — zawołała Zosia — zamknę oczy i zasunę okno...

Obiad przeszedł na takiej pogadance swobodniej, nawet pan Juliau się rozruszał nieco i chwilowo wrócił mu humor młodzieńczy...

Deszcz który cały ranek pruszył, sprawdzając chłopskie meteorologiczne postrzeżenie, ku południowi począł coraz mżyć delikatniej, resztę mgły rozpe—dził wiatr, obłoki się porozdzierały, słońce wyjrzało i gdy od stołu się ruszono, pogoda była tem piękniejsza, że powietrze się odświeżyło... Zosia uderzyła w rękę, ciesząc się tą niespodzianką, która jeśli nie do ogródka, to choć na ganek wyjść dozwalała.

Ogród przy folwarku gwoli gospodarskiej wygrodzie zasadzony, ładny wcale nie był. Zajmował spory kawał pola na płaszczyźnie, ogrodzonego szczelnie i zasadzonego w kwadraty owocoweni drzewami. Już za czasów gospodarstwa pana Ostójskiego, przybył tu szpaler leszczynowy, altana i kilka drzew... Z jednej strony cień dawała ulica przypierająca do płotu, obsadzona staremi topolami nadwiślańskimi. W jednym kątku status in statu, był ogródek wydzielony dla Zosi, opasany misternym płotkiem z brzeziny, z furtką starannie wyciosaną... tu rosły jej ulubione kwiatki. tu niegdyś gospodarowali razem i klócili się z panem Julianem i kochali potem i wiekuistą poprzyśięgali sobie miłość... Małeńki ten kątek z ławeczką, z altanką, bzami i winem obsadzoną, ze stoliczkiem w niej... pachnący, cały rozkwitły, choć ciasnemi opasany ścianami wcale był ładny... Gdy po obiedzie otworzono drzwi szklane jadalnego pokoju na ogród, Zosia wskazała ręką ścieżkę wiodącą do swojego gospodarstwa.

— Radabym się panu Julianowi pochwalić — rzekła — jak ja teraz rozumna jestem i praktyczna. Pamiętaś pan, dawniej ginęłam za różyczkami, liliami, bratkami, za malowanemi altankami, które się śmieją i pachną tylko — a teraz!! Ciocia powie pann. że przeczuwam przeznaczenie gospodyni domu i poważnym oddaję się studyom... Znajdziesz pan z podziwieniem zagon przepysznych truskawek sprowadzonych z Erfurtn, maliny Maltańskie ogromne (ale nasze są słodsze!).. nawet jakiś oryginalny kartofel z poszanowaniem wypielegnowany, aby mógł być ojcem licznej familii... Widzi pan...

Zosia się śmiała, radaby była pod oczyma rodzi-
ny, a jednak sam na sam przejść się z nim choćby po
wielkiej ulicy głównej, która jako piaskiem wysypana,
już była suchą — ale Julian się nie domyslał... Cier-
pliwa Zosia powiedziała sobie: będzie tu przecież
drugim razem — nie trzeba się zbytnio nabijać.

Od strony tej domu widać było daleko równinę
ku pałacowi rozciągającą się i szeroką aleję topolową
wiodącą ku niemu, i cienisty park, na którego cie-
mnej zieleni pałac wspaniale się malował ze swą kopu-
łą blachą obitą i dwoma nad oficynami niby bastiono-
wanemi przyczółkami. Z tej strony opasywał dwór
obwodowy mur z chatką dla szwajcara... przy monu-
mentalnej bramie. Na dwóch jej kamiennych słupach
stały dwa lwy jeszcze z saskich czasów. Lwy to były
może heraldyczne, może poetyczne, ale do żywych
mało mające podobieństwa. Właśnie się oczy towa-
rzystwa skierowały ku gościńcowi, gdy z bramy wy-
sunęła się amerykanka parą koni ładnych zaprzężona...
Siedział w niej mężczyzna... Pan Ostójski postrzegł-
szy go ruszył ramionami.

— Zejdźmy czy co — szepnął — to Margocki. a jak
nas zobaczy... gotów wstąpić... e! to nudziarz...

Amerykanka puszczona klusem wyciągniętym
parła tak szybko. że nim się namysłono skryć do do-
mu, już było zapóźno. Siedzący w niej mężczyzna
średnich lat. ale wybornie udający młodego, uklonił
się żywo Ostójskiemu i zawołał z zapłotu:

— Wstąpię na chwilę!

Zosia się zarumieniła ustępując do pokoju, Ostój-
ski skwaśniał, machnął ręką i mruknął:

— Niechże go z tą jego grzecznością... siostró Klaro, zmiłuj się, kawy czarnej i jakiego likworu czy co?

I poszedł na drugi ganek przyjmować gościa nieproszonego, który się już w sieniach bardzo głośnym śmiechem i przerywanem mówieniem zwiastował.

Ciocia Klara poważnie, z godnością osoby, która się szanować umie. skierowała się ku drzwiom wewnątrz prowadzącym. Kanonik siadł przy siostrze. w kątku, Juliana pociągnęła Zosia ku fortepianowi.

— Lubisz pan jeszcze muzykę? — spytała.

— Zapomniałem jej — ale słucham wiele, bo w Niemczech... to pokarm powszedni...

Ledwie rozpoczęli, a tuż wtoczył się Margocki.

Jest to własnością rzeczy naśladowanych, że jeźli oryginału nie karykaturują, wybitniejszymi czynią główne jego cechy. Margocki był kopią arystokratycznego gentelmana, uderzającą charakterystyką pańską. Nie można było powiedzieć by ta kopia była chybioną... owszem artystycznie nawet pojęta i do pewnego stopnia oryginalna, miała wdzięk a mimo to oko znawcy rozpoznawało w niej, że było powtórzeniem dziełem ucznia nie mistrza.

Na prawdziwego wielkiego pana, jego wady i przynioty, jego szlachetną piękność i miękką elegancją, na to *comme il faut* nie dające się określić, składa się krew, wychowanie, spadek wieków, wpływ otoczenia, tysiące niepochwyconych emanacji ludzi, świata i przedmiotów... jest on naturalnym owocem i wypadkiem tych sił koniecznym; — naśladowany pan i arystokrata, który może być w duszy czemś jak najmniej do niego podobnym, ubiera się w cudzą suknię i gra gorzej lub lepiej rolę pożyczoną. Margo-

cki grał ją doskonale, przyczyniała się do tego i długa wprawa. Dla oka mniej bacznego mógł uchodzić za potomka wielkiej rodziny... Mężczyzna był piękniego wzrostu. postawy udatnej, twarzy rysów dosyć czystych, wyrazu roztropnego i pojętnego... Na czole, około oczów, przy ustach znużenie i wiek zaczynały już rysować znamiona i drogi któredyś starość przyjsie miała, ale ogólny ton i koloryt twarzy był jeszcze świeży i młody. Margocki miał lat piędziesiąt, nie wydawał się wszakże starszym nad trzydzieści kilka. Niezmiernie grzecznie wszedłszy powitał Zosię, która mu z daleka dygnęła, skłonił się na prędce unikając zbliżenia. Kanonikowi i jego siostrze, niedowierzająco spojrział na Juliana, i począł trzymając ciągle kapelusik miękki pod pachą, a spinając rękawiczki rozmawiać z gospodarzem.

— Pani hrabina wedle wszelkiego podobieństwa, przyjeżdża dziś... jadę na spotkanie do pierwszej stacyi, dokąd już poszły ekwipaże i służba... Szanowny panie Ostójski... jeśli by w pałacu co potrzebowano, bośmy nie bardzo przygotowani na przyjęcie — pomóżże nam, proszę...

Ostójski się skłonił — z największą chęcią — jutro na rozkazy...

Odwrócił się do Kanonika.

— Jegomość dobrodziej przyszle nam jutro z ranną mszą ks. Wikarego, to się kollatorce należy...

— O której? — spytał Kanonik.

— Ks. Wikary już godzinę będzie wiedział... dla mnie — podał Margocki — przyjazd ten i spodziewany pobyt pani hrabiny. jest największem szczęściem, bom się okropnie wynudził, sam siedząc w tym pustym

pałacu. — Często mnie brała wielka chętka korzystać z sąsiedztwa domu pańskiego, alem się obawiał naprzykrzać.

Ostójski nieumiał nic lepszego powiedzieć nad:

— Mój mości dobrodzieju! ale tego... ale tego... bardzo proszę... cóż znowu...

Weszła ciocia Klara, a za nią wyrostek wniósł kawę i likier.

— Pozwoli pan dobrodziej... kawki czarnej i kieliszeczek likworu? spytał Ostójski. biorąc sam tacę.

Margocki należący do pierwszorzędných smakoszków, będący wyrocznią w rzeczach jadła i napoju, z obawą spojrział na kawę i butelkę, którą posądział o krajowe pochodzenie. Dopiero zobaczywszy znaną etykietkę, uspokoił się i przyjął ofiarę.

Panna Klara rączką w obciętą rękawiczkę bez palców przystrojoną, której piąty palec dramatycznie się nad innemi unosił, nalala z wielkim wdziękiem nektarn Mokki i przysunęła go Margockiemu... Ostójski tymczasem płyn piernikowego koloru cedził do kieliszka... szepcąc chłopcu aby ich więcej przyniósł.

Z filiżanką w rękę plenipotent podszedł do Zosi, której minka zdradzała jakieś nienukontentowanie.

— Pani zawsze wiele się zajmuje muzyką? — zapytał.

— Dosyć! — szepnęła zimno Zosia.

— Jakiż jest pani ulubiony kompozytor? Czy pani Wagnerzystka? czy Szumanistka? czy Szopenistka? czy...

— Ja panie? jestem... w muzyce... bez szczególnych i wyłącznych upodobań... biorę wszystko co mi się wydaje pięknem.

— Ale któż najlepiej przemawia do serca pani?

Zosia spojrzała mu śmiało w oczy.

— Śpiew kościelny i piosnka pastusza...

— A! a! więc i Chopin?...

— Często... —

— Pani wie zapewne — dorzucił Margocki — że nasza hrabina była niegdyś znakomitą wirtuozką, lubi muzykę niezmiernie, pasyami i dziś jeszcze mimo swych pięćdziesięciu... do których się nie przyznaje, par *paranthese*, gra jeszcze bardzo ładnie. To jej najulubieńsza rozrywka... a że tu niema z kim grać na cztery ręce, — co jest jej wielką rozrywką — bardzo by pewnie była rada... gdyby pani...

— A! ja wcale nie grywam na cztery ręce! — pospiesznie przestraszona zawołała Zosia.

Margocki się roześmiał.

— *Ce n'est que le premier pas qui coute* — rzekł — znajomość z hrabiną. pewnie by była miłą... i niepodobna by ona pani, pani jej nie oceniła. Jest to znakomita ze wszech miar osoba... sławna z dobroci, dowcipu, talentów we wszystkich europejskich stolicach. Elle a été très goutée par l'impératrice Eugénie.

— Ale, zmiłuj się pan, ja jestem prostą sobie wieśniaczką — zawołała Zosia.

— Godna najświetniejszych salonów... — rzekł żywo Margocki i skłonił się. — Ja już z góry spisek na panią uknułem: je n'en demordrai pas.

Skłonił się i odstąpił aby Zosi nie dać czasu się bronić.

Ostójski, który część rozmowy pochwycił, po-

snutniał — ale się mięszać nie chciał... podsunął li-kier, Margocki spojrział na zegarek.

— Il était temps! — krzyknął przerażony — muszę lecieć, bo nuż hrabina nadjedzie. — I prędko pochwyciwszy kapelusz, obdzielił ukłonem wszystkich, wysunął się, znikł. Amerykanka zahuczała, pojechał. Odetchnęli wszyscy. Ostójski tylko był cłmurny, a Zo-sia gniewna.

— Otóż to mosanie, masz tobie łaskę pańską — za-wołał gładząc łysinę, — ani się będzie można wykre-cić teraz od muzyki, stosunków, salonowania... a ten mój koziołek Zosia.

— E! tatku! koziołek się nie da! — przerwała córka.

— Ale to ci dobrze tak mówić, nieda się, nieda! na to niema sposobu — mówił ojciec. — Chcesz żeby mnie za ciebie szykanowano i prześladowano, żeby mnie gniewem swym ścigał na każdym kroku wszech-mogący Margocki... bo on wszechmogący tutaj! to dar-mo! I hrabiego ma w kieszeni i hrabinę też... i hra-biątko, a tu odnowienie kontraktu za pasem. Odmó-wiłaż byś ojcu pomocy? a nie chciała mu oszczędzić przykrości?

Zosia od fortepianu przybiegła i rzuciła mu się na szyję.

— No, nie mówmy o tem, ponudzę się dla ciebie... Zresztą tatko niech to na mnie spuści... a ja sobie dam radę.

Julian spojrział na zakłopotane dziewczę i żał mu się może zrobiło, bo rzekł:

— Niema to nic tak straszego to towarzystwo pańskie — trochę się należy przyzwyczaić a niezbyt

się o jego łaski troszczyć! o! pannie Zofii to przyjdzie łatwo z jej trafnym instynktem i...

Zosia spojrzała.

— Komplement — rzekła, załamując ręce komicznie, — a kiedy też już pan Julian mnie, mnie! mnie! śmie prawić komplementa! — to znak ostatecznego rozbratu... pan, mnie.

— Ale to nie jest komplement!

— A cóż to jest? — spytała Zosia.

— Nie—potrząsając głową odpowiedziało dziewczę. — nie. Stary mój przyjaciel pan Julian inaczej by mi to był powiedział...

Obwiniony zamilkł. Matka spojrzała na syna z pewnem smutnem zdziwieniem...

Rozmowa rozbita, chwyтана z kolei przez wszystkich przytomnych i rzucana... zakończona została sentencyonalnie przez pannę Klarę.

— Gdyby mnie o zdanie pytano — odezwała się, — wyraziłabym ją z właściwą mnie otwartością... Dla osoby w kwiecie wieku jak luba Zosia... cóż może być pożądansem nad dobre towarzystwo? W niem się nabiera tej woni i tonu, który całemu życiu urok daje. Przyklasnęłabym z serca. gdyby w pałacu bywała, mówię otwarcie.

Ostójski mruknął.

— Niech ich z tonem i wonią... Niedokończył... Goście się zaczęli żegnać...

Wychodząc z folwarku Julian wyprosił się na przechadzkę ku sąsiedniemu lasowi. Kanonik z siostrą wracali sami. Szli długo zamysleni oboje, smutni trochę, milczący.

— Przyznam ci się siostruniu — po długim prze-

stanku, szepnął Kanonik pochylając się ku idącej z założonemi na piersiach rękami matce Juliana — przyznam ci się, że jakoś mi Julek... teraz mniej smakuje niż kiedykolwiek. Dobry, poczciwy chłopak. ale już świat z niego uczynił swoją istotę, już nam dziecię nasze odebrał... już to jest zarodek człowieka po myśli wieku. Prawda, inaczej być niemogło, a mogliżesmy go wychowywać gdzieindziej!

To było do przewidywania...

— Ja to sama widzę, głosem boleści pełnym — odpowiedziała matka — a! widzę aż nadto, i boli mnie to... Jednakże, mój bracie, to są wrażenia młodości, chwilowe, przemijające... najgłębiej w duszę wpaja się to co ona za młodu przyjęła... Powróci nam Julek nasz dawny... zobaczysz...

— Daj to Boże — westchnął Kanonik, — bo teraz my się nie zgodzimy. Proszę cię, komu Bóg łatwiejsze usłał szczęście jak jemu?

Trzeba być ślepym żeby nie widzieć tego, że poczciwa Zosia go kocha, może więcej niż brata. Ostójski by ją dziś wydał... kupiliby dworek w miasteczku... praktykę by miał i żylibyśmy w kupce jak u Boga za piecem. Uważałaś jaki był Julian zimny dla nich...

— No, tego, kochany bracie, znowu tak bardzo ganię i za złe mu mieć niepodobna, — ujęła się matka, — chłopiec ubogi, niechce być winien wszystkiego Zosi, niechciałby aby go posądzono o to, że się dla posagu ożenił...

— Zapewne... tego bym mu nie zganił — rzekł Ksiądz, — ale ja głębiej sięgam w duszę... jest to i jest coś więcej... ambicja! Nie pragnie nauki i sławy,

jak to dawniej bywało, ale po dzisiejszemu chęć zużytkowania nauki i talentu dla zyskania majątku i pozycyi...

— Mój drogi, możnaż tak sięgnąć w duszę człowieka?—broniła matka.

— Winienem może, ale z rozmów Juliana wnioskuje, bodajbym się mylił—dokończył Kanonik.

— Bóg widzi. to ożenienie ze śliczną, miłą, dobrą Zosią, to dla mnie było zawsze marzenie o które modliłam się do Boga,—no, dziś, trudno się łudzić—trudno! Będą tu różne krzyżować się wpływy i zajdą rzeczy... niespodziane. Zosię już ciągną do pałacu... Hrabina uczyni to dla Margockiego, który widocznie poluje na posag i majątek Ostójskiego. Dziewczę najpoczciwsze. ale młode i słabe, a urok pańskości na umysł młody wielki...

Potrząsała głową staruszka.

— Nasze piękne sny i projekta trzeba pono pożegnać—dodała...

— Niech to tam Pan Bóg sobie złoży jak wola Jego—dodał Kanonik.—Żyłem długo na świecie, jedna mnie prawda uderzała nieustannie — bo to iż najczęściej o co się człowiek najmocniej stara, czego najgoręcej pragnie. na złe mu wychodzi. czego się lękał, zbawić może.—Zdajmy się na Opatrzność i idźmy ufni w nią prostą drogą.

— A! tak! tak! kochany bracie — powtórzyła matka Juliana,—ja też nic nie pragnę dla niego, tylko żeby czystym i pocciwym pozostał.

— Amen! — rzekł Ksiądz, — reszta dodaną mu będzie.

Szli tak drożyną ku plebanii powoli. słońce było

nad zachodem... Przez gęsty cień lip przy probostwie, przedzierały się złote promienie rysując fantastyczne na ziemi kobierce... Z ciemnych gąszczy liści, szczyt starożytnego kościółka strzelał ku niebu ze swemi gotyckimi ozdoby... Z drogi już dochodząc wzgórze to całe z murami, domami, szczytem tym, drzewy, ogrodem, wyglądało dziwnie powabnie i uroczyście. Bliżej nad drogą jakby zapraszając do kościoła, stała na marmurowym słupie nowym, piękna figura N. Panny łaskawej, którą Kanonik z dawna na nią grosz zbierając, w tym roku właśnie postawił.

Stałał tu naprzeciw tego krajobrazu, złożył ręce, jakby się modlił i rzekł z rozrzewnieniem do siostry:

— Mój Boże! jakże to u nas cicho, pięknie i miło! człowiek wzrósł sercem do tego kąta... ukochał go... umiłował i doprawdy, zdaje mi się, że na świecie nigdzie lepiej, nigdzie piękniej być nie może, aż strach, by za tę ziemską miłość Bóg nie pokarał, a nie rzucił gdzie ztąd daleko!

— A! cóż to ty mówisz! co ty mówisz! — zawołała siostra przełęczniona, — gdzież, ktoby mógł? dla czego?

Kanonik głową poruszył.

— Nie trwoż się, nie ma nic, a no tak czasem w serce obawa zastuka... Niepodobieństwa nie ma. Zwierzechność duchowna nie pyta nas... dysponuje sama a my posłuszni być powinniśmy... Inaczej być nie może. Kościół ma wielkie do wypełnienia obowiązki, myśmy żołnierze Chrystusowi i gdzie nas postawią na placówce... winniśmy nieruchomi stać, każą iść—iść... Cóżbyśmy byli za kapłani, gdyby wargą sarknęła a serce zabolęło?

Poszli milczący już ku probostwu... W miarę jak się zbliżali, niespokojna o swe gospodarstwo siostra pospieszyła, ksiądz kroku zwolnił i pożegnawszy ją skinieniem ręki, ścieżynką w lewo wiodącą do furtki cmentarnej skierował się ku kościółkowi, który był wszech jego starań celem. ukochanem pieścidelkiem. Chodził tak często w wolnych chwilach oglądając go, przemyślając czyby co dodać, poprawić, ozdobić nie można.

Cmentarz stary otaczający ową świątynkę, obwiedziony był murem. Za dawnych czasów grzebiono tu umarłych. Znać jeszcze było w ziemi gdzie niegdzie wklęsłe szerokie płyty kamienne, na których słota i mchy napisy powyjadały. W ściany też kościoła dawnym obyczajem powprawiane były rzeźbione wieka... Ten cmentarz dawniej trochę opuszczony i zarosły, Kanonik lubiąc to miejsce, postarał się przeistoczyć na istny ogródek... Porobiono tu ścieżki piaskiem wysypane, zasadzono kwiaty i krzewy, popodnoszano grobowe kamienie i krzyże. Teraz wyglądało tu świeżo i malowniczo wielce. Wikary tylko znajdował, że to była elegancya niepotrzebna przy domu Bożym...

Gdy Kanonik szedł, postrzegł zaraz w progu kościoła kościelnego, który tam coś porządkował i zamiatał, a dywanik jakiś wytrzepywał. Spotkanie z nim mile było zawsze Kanonikowi, bo też mimo gderliwości i fukania, nie było pocziwszego serca ni człowieka nad starego kościelnego tutejszego. Kochali się nawzajem.

Chociaż teraz w szarej długiej chodził kapocie, z twarzy zaraz wyglądał kościelny na to czem był— na dawnego żołnierza. Sumiasty wąs siwy, głowa by-

ła jak kolano pokryta czarną czapeczką, oko niewielkie wypukłe, nos garbaty, dawały mu jedną z tych twarzy, jakimi Orłowski starą szlachtę swą piętnował. Był też pono szlachcicem pan Warmski, znany pospolicie pod nazwiskiem Eliasza. Za młodu służył pod Kościuszką, lat swoich dobrze niewiedział. Nosił też na kapocie zawsze kawał starej wstążki *virtuti militari*. Od czasu, jak na jedną nogę w kampanii okaleczał i okulał, dostawszy się tu do kościoła, już go nie opuszczał. Utrzymywany jego staraniem, był w największym porządku i czystości. Kanonik i on żyli w prawdziwej serdecznej przyjaźni. Eliazs kochał też Julka jak własne dziecko, matkę jego poważał, służył i im też z wielką serca radością i był szczęśliwym aż do przybycia ks. Leona. Pierwszy raz go zobaczywszy zaraz, pokiwał głową, niepodobał mu się,—ten nam piwa nawarzy!—rzekł do siebie, — z oczów mu patrzy źle! o! źle!

Zdaje się, że Eliazs też nie miał szczęścia się podobać ks. Leonowi, bo od pierwszych dni, wiecznie coś miał mu do zarzucenia, a stary nie krył się z tem, iż go znieść nie mógł. Nie uchybił mu w niczem, nie sprzeczał się nigdy, nie odpowiadał nawet, gdy się odzywał do niego, ale stanowczo rozkazów jego nie wypełniał bez konfirmacyi Kanonika.

— Co to tu on będzie burmistrzował!—mówił,—jać służbę znam... on tak dobrze zostaje pod ordynansem Kanonika jak i ja? W nie swoje rzeczy nosa wści-biać—wara.—No—osoba duchowna.—Zna się uszanowanie, zawsze pomazaniec i kapłan — wszelako jabym wolał, żeby mu gdzieindziej choć probostwo dali. byle go tu nie było. On tu nam porządek psuje i ciągle niby coś nowego chce wymyślać.

Tę niechęć bardzo wyraźną, Kanonik usiłował o ile możliwości uśmierzyć — jakoż poskromił łatwe jej wybuchy, bo Eliasza znał karność i praktykował ją po żołniersku — tylko — uczucia swe w sobie schowawszy, nie łatwo się ich wyrzekał. Wikary ze swojej strony skarżył się ciągle na starego wiarusa, usiłując go precz wyrzucić pod pozorem niedołężności i wieku, Kanonik stanowczo odmawiał.

— Póki mnie tu, póty i jego, — mówił krótko i wyraziście.

Trzepiąc dywan, cały pokapany woskiem, stary mruczał i spluwał...

— Co ty tam gderasz, Eliaszu? — spytał Kanonik zbliżając się.

— A jak niemam gderać? jak się niemam oburzać? co ja tu poradzę! co! — mówił Eliaz. Kobierzec stary, bo to podobno jeszcze z pogrzebu nieboszczyka generała do kościoła się dostał, poleli go woskiem... dziury powypalali, a ks. Leon na mnie się napusza, że ja w takim stanie go zaściełam. że ja powinienem go odświeżyć! co ja mu zrobię? jak? czyść go, myj. wyłupnij, trzep... nic tu nie poradzi...

— Wiesz co, panie Eliaszu. — rzekł Kanonik, — aby ten przedmiot drażliwy z oczów usunąć, schowaj go do skarbcza i po wszystkim.

— No — to ołtarza przed Ś. Antonim nie będzie czym zasłać, — rzekł Eliaz... — to ten — potem powie, że gołe stopnie i że to obraza Pana Boga. niechlujstwo, zaniedbanie...

— Jest na to rada, — zawołał Kanonik. — mam dywanik, który mi nie jest potrzebny, ofiaruję go chętnie pod stopy Ś. Antoniemu...

Eliasz spojrział i głową potrząsł.

— Nie potrzeba—ja wiem, że to wasz ostatni i że na wypadek drogi. siana nie będzie czem zasłać...

— Albo to ja podróżuję!

Eliasz zajął się kobiercem znowu, ale pancerz wosku którym był oblany, nie dozwalał ani pomyśleć o odczyszczeniu... Stali tak oba medytując nad nim.

— A ks. Wikary gdzie?—spytał Kanonik.

— Już pojechał czy poszedł... Przybył tu Stasiak Wątróbka. bo mu Pan Bóg dał dziecko i ono słabe, chciał chrztu a kobieta spowiedzi, bo też nie zdrowa... domagali się ks. Kanonika...

— A byłoż mi dać znać!

— Chciałem! szedłem. to mnie ofuknięto—i wyrwał się Wikary...—rzekł żołnierz. — On się teraz wszędzie wrywa, gdzie nie potrzeba i choć go sobie nie życzą, a to tylko, aby JMśc. ks. Kanonika nie dopuścić. Ja jestem głupi, ale ja to widzę już, że on chce wyprzeć zewsząd JMśc. Wszystko niby z gorliwości bierze na siebie! Dobrze! a tymczasem gada, że Kanonik stary, niedołęga, marzyciel i do niczego...

Kanonik się zarumienił.

— Tego on nie mówi i nie prawda! Eliasz... daj pokój.

— Mówi, ale ostrożnie i po cichu, po cichu. Wie. dobry człeczek gdzie co rzec i jak! O! wie!

Rękę wiarus podniósł do czoła i spuścił ją z wielkiem wzruszeniem.

— Ty bo go nie lubisz?

— A ktoby go lubił? ta — to gorzkie jak pieprz..
—odparł stary...—a chytre...

— No—już chytre— proszę cię, dosyć tego, — rzekł Kanonik.—dosyć.

— Bądź wola twoja, księże Kanoniku, dosyć, ani słowa, ino to jedno dodam, — szepnął stary, — że jego—mość go kiedyś poznasz lepiej—ino będzie po czasie—więcej nie powiem.

Wziął się stary do kobierca.

Kanonik pomodlił się przed kościołem, starego poklepał po ramieniu i poszedł ku furtce wiodącej ztąd na probostwo... W ganku już spotkał ks. Leona, który pot z czoła ocierał.

— Czemużeście mi nie dali znać.—witając się rzekł Kanonik, — iż Wątróbka życzył sobie mnie mieć... byłbym pospieszył.

Ks. Leon zaciął wargi.

— Chciałem ks. Kanonika wyręczyć,—odpowiedział sucho.

— Pojmujecie przecież iż jabym także moją część w cura animarum rad spełnić... nie odbierajcie mi jej proszę... Ci ludzie mogą sądzić...

— Przepraszam,—przerwał Leon,—oni nie powinni dobierać sobie duchownych.. każdy z nas przychodzi w imię Boże...

— Nie trzeba być tak bardzo surowym, — odezwał się Kanonik,—w ogólności powiem wam. wy zapewne w najlepszej chęci to czynicie, ale za ostro się czasem obchodzicie z ludkiem naszym. który do łagodności nawykł.

— To źle, — syknął Wikary, — to źle, religii mu zasłodzonej podawać nie trzeba. bo ją lekceważyć będzie.

— Wiem, że w tem różnią się nasze pojęcia,—chło-

dno odezwał się Kanonik, — lękam się wszakże by zbyt twarda surowość więcej nie szkodziła niż pomagała... Syn Boży był miłością samą. Oto na przykład, gdy stary Wojciech umierał, kazaliście precz iść od umierającego rodzinie... skonał tak nie pożegnawszy się z nią. na co niezmiernie płakali...

Ks. Leon ironicznie popatrzał na Kanonika.

— Jest to bardzo chwalebny zwyczaj przez rzymskie duchowieństwo zaprowadzony, aby w godzinie śmierci, konający myślał o Bogu nie o ziemskich rzeczach... po co tam rodzina? po co to pożegnanie? po co te dystrakcye, które skruchy nie dopuszczają...

Kanonik słuchał.

— Każdy kraj ma swój obyczaj. u nas tego nie było.

Ks. Leon ruszył wzgardliwie ramionami:

— Pozwolisz mi ks. Kanonik. choć młodszemu. uczynić tę uwagę, że — zapewne nie z jego winy, ale przez wiekowe opuszczenia i tolerowania wkradło się u nas wiele zgubnych zwyczajów. Potrzeba surowości bezwzględnej aby je wykorzenić — mam to najmocniejsze przekonanie.

— Mój ojciec. — z wolna rzekł Kanonik, pobbłżać złemu nie godzi się nigdy, ze złem niema kompromisu. ale z naturą ludzką więcej dokażecie łagodnością niż piorunami Jowiszowemi. Cały duch nauki Chrystusowej sprzeciwia się użyciu tam grozy, gdzie dobroć starczy. Będziecie żyli dłużej, doświadczycie więcej, przekonacie się kiedyś iż surowość zbyt twarda w kapłanie zamiast mu nadać powagę, odbiera ją. czyniąc go na pozór namiętnym i na oko gniewliwym, choćby nim

nie był. — Ks. Leonie, gorliwość was unosi często za daleko.

Ks. Leon uśmiechnął się: — to rzecz mojego sumienia.

— Nie czynię też z tego wymówki, aleście wy mi zadali słabość.

Wikary odwrócił się z szyderską a jakimś przypomnieniem spokorniałą postacią. Wyrazy jego następne przybrały dziwny ton zaledwie pochwyconej ironii.

— Gdzieżbym ja się ośmielił, ks. Kanonikowi, cokolwiekbądź zarzucać! Może się źle wytłumaczyłem — znam moje położenie, obowiązki, zależność, winne starszym posłuszeństwo i proszę mi wierzyć że... ściśle trzymam się stanowiska mojego. granic nie przekraczając nigdy...

A po chwili począł dziwnym jakimś tonem coraz w powagę rosnącym.

— Pozwoli ks. Kanonik...

— Wszystko w świecie, — rzekł spokojnie kapłan, — mów, co się podoba.

— Każdy wiek kościoła wojującego ma swój odrębny charakter, i strategia też kościelna zmienić się musi stojąc w obec coraz innego nieprzyjaciela... Ja byłem w Rzymie i tam zaczerpnąłem skazówki co do właściwego sposobu postępowania...

— Zapewne, — rzekł Kanonik, — ale przyznasz mi że i każdy kraj ma właściwy sobie charakter, a kościół zwykł od wieków, jak dobra matka, zastosowywać się do potrzeb swych dzieci.

Ks. Leon przeszedł się uśmiechając po ganku.

— Miałem właśnie do ks. Kanonika prośbę,—rzekł.
— ale...

— Proszę mówić, jeśli w mej mocy...

— Chciałbym odbyć rekolekcyę u ks. ks. Jezuitów w...

Kanonik z razu nic nie rzekł.

— Czy to koniecznie u Jezuitów! — spytał po przestanku.

— Ja się nie taję z moją słabością, dla wielkich zasług i surowej pobożności tego zakonu.

— Obojga nie zaprzeczam, — rzekł Kanonik... — jedną bym tylko uczynił uwagę. Słuszną, czy nie, naród nasz przypisuje wpływowi tego zakonu, opanowanie przezeń wychowania publicznego, wszystkie klęski nasze, upadek i ciemnotę. — Nie będę się z panem sprzeczał o to, czy twierdzenie to, jest zupełnie uzasadnione. W pewnych jednak chwilach życia narodowego, boleść kraju poszanować należy — błędne nawet może sądy uwzględnić. — Czyż nie ma ani zakonu, ani miejsca, gdzieby rekolekcyę odbyć można pobożnie i święcie, tylko tam? Na co narażać i odstręczać od siebie ludzi.

— Aby ich wywieść z błędu — zawołał gorąco ks. Leon,—należy walczyć otwarcie z uprzedzeniami. Jezuiti raz czasu reformy kościoła w Polsce uratowali, dano im być może ocalić go od wpływu masoneryi, judaizmu i rewolucyi.

Kanonik spuścił oczy i milczał znowu czas jakiś.

— Nie wiem, nie wiem — odezwał się,—może — może. — Trudno z takimi rzeczy się spierać — kwestya zawila... Jaby m wolął aby się katolicyzm bez tych pomocników obszedł... lecz... szanuję... przekonanie.

— Więc mi ks. Kanonik nie zakazuje? — spytał ks. Leon.

— Zakazywać? ja? mój ks. Leonie — śmiejąc się przerwał Kanonik, — a cóżem ja kiedy jegomości zakazywał?

— Ale bo choć w formie łagodnej — to zakaz... — ofuknął ks. Leon.

— Bynajmniej, jedź waćpan — jedź. Jeżeli jednakże potem nie łatwo ci będzie pozyskać sobie tu zaufanie i miłość u ludzi... sam sobie przypiszesz winę.

— Więc nie jadę — powtórzył ks. Leon.

— Jedź, nie jedź, jak ci się podoba — dokończył wstając z ławki Kanonik, — proszę tylko nie mów żem ja zakazywał. Z tem co myślę nie taję się, nie zjeżdżywa mi to przyjaciół — nowych zaś niechęci nie życzyłbym sobie ściągać.

— W wielu rzeczach i poglądach różnimy się z sobą, mogę się bardzo mylić — Bóg osądzi.

Łagodna ta mowa zdawała się właśnie łagodnością swą do najwyższego stopnia drażnić Wikarego, którego twarz kurczyła się, wyprężała, krzywiła, a oczy to łyskały, to się przymykały, wtórując ustom.

— Ja też — zawołał, — nie myślę się podawać za niemyślnego. ale mam za sobą powagę nowych rozporządzeń kościelnych i te to zaczerpnąłem w samym Rzymie.

— Ks. Kanonik posuwasz tolerancją do tego stopnia, iż przypuszczasz i żydów i protestantów do prawie równych praw społecznych...

— Zdaje mi się, że na tej tolerancyi opierając nadzieję nawrócenia, nie myślę się — dajmy pokój, dajmy pokój — rzekł poskramiając widoczne wzruszenie, —

czytaj ks. Leonie Ewangelię, czytaj Ewangelię. umiluj Chrystusa. a gdy ci się oczy odsłonią ażebyś wejrzał w serce Jego... nie będziesz mnie potępiał...

Widocznie unikając dalszej wielce drażliwej rozmowy, Kanonik poszedł do swojego pokoju po brewiarz i z nim wysnął się ku zwykłej nliczce cmentarza, po której chodząc odmawiał modlitwy.

Ks. Leon przostał w ganku, zadumał się... oczy jego zwrócone ku pałacowi dostrzegłszy właśnie ciągnące drogą ku niemu ekwipaże. Domyślił się zapewne że przybywała dziedziczka... Przodem szła amerykańkanka, dalej karetą poczwórna, mała karetką kocz i bryka... Wszystko to z wielkiem klaskaniem batów i trąbieniem pocztarskiem wtoczyło się w dziedziniec pałacowy... i znikło.

Ks. Leonowi oczy zajaśniały, zatarł ręce i żywym krokiem pobiegł ku wikaryi.

Pałac Skwirskich zbudowany w XVIII w. nosił na sobie wszystkie cechy jego smaku wykwiutnego do zbytku, nie bez wdzięku może, ale nadto wyszukanego i rozkwieconego. Skwirscy żyli na dworze Saskim i służyli obu Augustom, pierwszemu w jego nieskończonych miłostkach, drugiemu w niezmordowanym łowiectwie, dzieląc obu upodobania w przepychu i elegancji — pałac też ich przypominał budowy drezdeńskie, salony Moritzburga i pałace Brühlowskie. W głównych apartamentach coś później poprzerabiano i dodano, w bocznych szczęśliwi byli właściciele, gdy smak do rokoko powracać zaczął, iż oryginalne jego próby posiadali. — Pałac pozostał rokoko. Począwszy od frontu na którym poczepiane były wazony, amorki, kwiaty kamienne, boginie, perło-

we sznury i wieńce, aż do gabinetów z lustrami w ramach porcelanowych i ścianami ze zwierciadeł — wszystko było w tym stylu — o ile go u nas wynaśladować umiano. — Stary ów zbytek nieco spłowiwały, jeszcze się wcale pięknie wydawał. Pełno tu było pamiątek nie starszych nad wiek XVIII, portretów we fryzurach i bogato haftowanych frakach, wygorsowanych pań z bukietami, cytrami, amorkami, pieskami i wachlarzami. Wszystko co zdobi drezdeńskie dawne pałace, przeniosło się tu po troszę, aby je przypominało.

W jednym z bocznych gabinetów, właśnie najświeższym i najwykwintniejszym, którego obicie stanowiła materyjka perłowa w rzucane róż bukiety, przy stoliku siedziała hrabina, której podano herbatę na prędce... Na berżerkach, krzesłach, konsolkach pełno było do koła podróżnych torebek, chustek, flaszeczek, węzełków i fraszek, któremi życie eleganckie otaczać się lubi. Sama pani wygodnie zasiadłszy w fotelu, nogi sparlwszy na stołeczku, rozglądała się po swym gabinecie. Była to osoba dobrze nie młoda, lecz środkami jakich sztuka dostarcza, nadzwyczaj szczęśliwie zakonserwowana. Paryż ma tyle wynalazków najrozmaitszych dla odnowienia płci, wyrównania marszczków, przywrócenia świeżości, nadania blasku oczom, zastąpienia zębów, przysztukowania włosów, iż umiając korzystać z jego darów, osoba jak hrabina pamiętajaca o swej powierzchowności, może przedłużyć wielce pozory młodości i zachować się prawie piękną do późnego wieku. Była też mimo zbytniej pełności kształtów hr. Skwirska wcale ładną, a drobne jej rysy, choć się nieco rozlały, zachowały pewien wdzięk arystokratyczny. Portrety cesarzowej Kata-

rzyny w późniejszym wieku najlepsze dać mogą wyobrażenie o tego rodzaju twarzy i piękności. Ubrana z niezmierną starannością mimo że była w podróży — miała postawę prawdziwie królewską... Sparty oburącz o poręcz krzesła stojącego naprzeciw Margocki. zdawał się oczekiwać na jej rozkazy, wpatrując się niespokojnie w twarzyczkę, której oczy prawie umysłnie go unikały.

— Kogóż tu macie ua wsi?—spytała ciągle mówiąc tylko po francuzku, hrabina.

— Sąsiedztwo się wcale nie zmieniło, — odpowiedział Margocki,—ciż sami ludzie, tylko — niestety postarzelili trochę, dużo zubożało... kilku zmarło...

— Więc?—spytała wyzywająco hrabina.

— Hrabiowie Żyńscy...

— Hrabiowie??—usmiechając się powtórzyła Skwirska, -- a dalej?

— Państwo Targońscy...

— Bon, przypominam... tak... te sławne owczarnie. on n'y parle qu' en grais, moutons et religion już wiem... bardzo pobożni... bardzo przyzwoci... ale nudni. Niema świetniejszego nic. gdzieby się zabawić, rozerwać umiano?

— W ogólności,—rzekł Margocki, — kraj nasz bardzo mało się bawi, czasy są ciężkie.

— O! bardzo ciężkie. il n'y a que les usuriers qui prospèrent—westchnęła hrabina. Ale ja też nie myślę się bawić, przyjechałam odpocząć, kółko jak najmniejsze sobie zrobię... je vivrai très retirée

— Gdybym ośmielił się poddać myśl...

— Ośmiel się, paucie Margocki, — z uśmiechem rzekła pani.

— Pani hrabina z miejscowych żywiółów mogła by sobie dwór stworzyć — Wikary, ksiądz bardzo przyzwoity, córka dzierżawcy wielce muzykalna. siostrzan Kanonika młody chłopak, ładny i naiwny... nareszcie ja, sługa pani. kilkunajście dzierżawców... Cela ne tire pas en consequence, dodał, są to stosunki jak u wód, qu' on laisse demain, quand on en est degouté...

Hrabina przełotnie nań spojrzała.

— Nous en reparlerons! — szepnęła. — myśl nie jest zła. To się będzie nazywać że nie przyjmuję nikogo, a zawsze jest jakiś resurs. Z temi też ludźmi, do żadnych występowań kosztownych nie jestem zmuszona... tout leur sera bon. Mój Margocki, powiedz że ty mi, — dodała. — co wy robicie z pieniędzmi że ich u was nigdy nie ma!!

— Ale my ich też nie mamy.

— Przyznaj się — hrabia traci??

— Pani hrabino dobrodziejko, nie tylko jeden. ale oba szalenie tracą. Naturę mają pańską...

— Ale za cóż ja mam za nich pokutować! — żalobliwie poczęła hrabina... — zostawiliście mnie odłużoną w Paryżu... a wiecie że Paryż wymaga... Bywając u Cesarzowej która jest z Księciem Meternich razem taką elegantką, niezmiernie wiele potrzeba. przecież się swój kraj reprezentuje... Narobiłam długów, choć ledwie le premier necessaire sobie pozwalałam. Nie macie na to wyrozumienia najmniejszego! Nikomu bym się nie dziwiła, ale ty, mój Margocki, que je croyais devoué à mes interets!

— Pani — przerwał plenipotent uderzając się w pierś, — proszę wierzyć, że czyniłem l'impossible...

— A nic zrobić nie mogłeś! nie! — westchnęła hrabina. — Teraz ja ci powiem, c'est mon ultimatum, muszę powrócić do Paryża, dałam Cesarzowej słowo, a nie mogę inaczej jak wioząc pieniądze dla spłacenia długów. Il y va de mon honneur!

Hrabina zdawała się w tem słodkiem przekonaniu, że dosyć było jej groźby, aby dobyć pieniądze, o których pozyskaniu zresztą najmniejszego nie miała wyobrażenia. Myślała że obowiązkiem było to świata co pieniądze miał, dostarczać ich na uciechy i fantazje wielkiej pani.

Margocki patrzył i milczał; hrabina powtórzyła:

— Powiedz to sbie—że muszę powrócić, a nie wrócić bez pieniędzy... c'est mon ultimatum!

Plenipotent milczał jeszcze, skłonił się i szepnął: —Nous ferons l'impossible.

— Oba hrabiowie tracą niemiłosiernie a ja za nich cierpię! dodała hrabina, — nie mieć nawet tych nędznych stu tysięcy franków w rok których potrzebuję — mais c'est quelque chose d'horrible! W końcu mnie zmuszą że się zakopię na wsi i naturalnie umrę... bo ja tu żyć długo bym nie potrafiła. Ja się już stałam paryżanką, mój Margocki, mnie potrzeba lasku, bulwarów, opery, tuilerjów jak powietrza do życia...

— Ty przecie mnie zrozumiesz i wejdiesz w położenie moje... mój drogi.

Spojrzała oczyma tkliwemi na plenipotentą, który też rozczuloną zrobił minę, ale nie wiedział co odpowiedzieć i kłaniał się tylko.

— Enfin, nie trzeba sobie zatruwać tych pierwszych chwil powrotu, ty to będziesz pamiętał...—rzekła

powoli.—Postaraj że się zaprezentować mi tych panów i te panie, które rekomendujesz i sam mi ten dwór ułóż—ale pamiętaj, że choć skromny i wiejski, przyzwoitym być musi.

— Pani hrabina od wieśniaków nie będzie wymagającą. — rzekł plenipotent. — Córka pana Ostójskiego może wybornie służyć do gry na cztery ręce...

— A! to doskonale!

— Ks. Wikary...

— Ten zółty?

— Ten sam—tak, przyzwoity jest i skromny... a potem?

— Młody medyk... z probostwa? ładny i miły chłopiec...

Hrabina spuściła oczy, znalazła znać rekomendacyę nadto naiwną.

— Któż więcej? kto więcej?

— A no, stary wielbiciel pani, pułkownik napoleoński —Baron Erlich...

— Przypominam sobie—miły, umie rozmawiać, mnóstwo anegdot o Napoleonie... Tak! tak! więc żyje.

— Zasechł i trzyma się dotąd, tylko co roku peruczkę odmieniania...

Na tej rozmowie przeszła godzina, a że pani po podróży skarżyła się na ból głowy, Margocki wkrótce ją pożegnał. Następny dzień poświęcony był obejrzeniu pałacu, ogrodu i przygotowaniem do uczynienia pobytu możliwym. Cały dwór latał, popychany w różnych kierunkach... pałac i ogród jakby z letargu wyprowadzone ożyły.

Zrana ks. Wikary był ze mszą, a na kawę proszony do hrabinej, siedział godzinę słuchając opowia-

dań o biskupach, osobach duchownych, ks. Dupanloup, Darbois, ks. Banerze, O Hyacyncie... o których hrabina wiele ciekawych szczegółów wiedziała.

Tegoż samego wieczora wcale niespodziewanie przybył dowiedziawszy się o powrocie matki, młody hrabia ze stolicy. . na powitanie hrabinej której od roku nie widział. Stosunki matki i syna były bardzo na pozór serdeczne, w rzeczy całkiem chłodne. Cieszyła się ona że umiał w świecie i na dworze przetorować sobie drogę, rada była że imię swe nosić umie godnie, ale nie mogła mu darować iż to tak drogo kosztowało... i nie dozwalało jej swobodniej odpoczywać w Paryżu. Znajdowała, że powinien był od dawna bogato się ożenić i przestać być rodzicom ciężarem a znaleźć pannę której by majątek dla obojga starczył.

Charakterystycznem było, że matka i syn nigdy z sobą otwarcie nie mówili; rozmawiali o świecie, o dworze, o interesach nigdy. Syn narzekał na matkę przed plenipotentem, ona się na niego skarżyła także — ale z sobą będąc wzajemnych żalów nie napomknęli nawet nigdy. — Hrabina znajdowała równie jak on. *que ce serait mesquin...*

Przyjazd syna rozradował hrabinę, była to miła atencya zawsze, jak mawiano dawniej — kazała go prosić natychmiast, choć nie była ubrana, do swego pokoju i uściślała serdecznie... Odezwało się na chwilę macierzyńskie uczucie choć stłumione oddawna.

— Nie prawdaż! — rzekła po przywitaniu — ty mi tn jakiś czas zostaniesz!

— Dopóki służba moja szambelańska nie przypadnie — odparł syn, — bo tej chybić nie mogę.

— A! to się rozumie... ale powiedzże mi — pytała hrabina. nie masz przecie jakich projektów? co robisz? co myślisz? nie znalazłeś sobie stosownej partyi?

Hrabia który nie znalazł nic oprócz artystki w teatrze Fryderyka Wilhelma. do której się nie myślał przyznawać, spuścił oczy i zamilkł.

— A! to trudno — odparł, widzi kochana mama, do tego by potrzeba być na innej stopie, inny tren prowadzić! a to, przy moich dochodach skromnych nie podobne — *Entre nous*, kochana mamó, papa zbyt wiele potrzebuje, ma do tego zupełne prawo... ale dla mnie nie pozostaje wiele... — Ta wymówka która zdala też dotykała i matkę, spowodowała przydługie milczenie.

— I ja bym też mogła się trochę uzalić na hrabiego — dorzuciła po chwili — ale — *laissons cela*, to niepomóże..

Zaczęto mówić o czem innem. hrabina wpadła na ulubiony swój temat Paryż, opis dworu, zabaw, odwiedzin w Compiègne, balów i t. p. Młody Szambelan słuchał z zajęciem i wywzajemnił się niektórymi szczegółami ciekawymi o dworze, o rozrywkach jego, podróżach i t. p.

Rozstali się po rozmowie długiej bardzo z siebie zadowoleni. a gdy Margocki wszedł po tem do pokojów Szambelana — ten mu rzekł wesoło.

— No — myśl Margosiu, żebyś się nie nudził. bo dla mamy posiedzieć muszę... Wiesz, że mama zawsze ślicznie wygląda? prawda?

Roześmiał się. — Jest kto w sąsiedztwie? I począł wypytywać o młodzież... Margocki wyliczał mu prześmiewając, opowiadając, dworując doskonale. Nad

wieczorem stary intrygant, który wiedział jak prowadzić interesa, poszedł do folwarku, wymanewrowawszy tak, by był pewien że zastanie samą pannę Klarę. Udało mu się przedziwnie, gdyż Ostójski z córką poszedł na probostwo. a panna Klara pozostała dla zajęć gospodarskich...

Była nawet w stroju tak zaniedbanym, iż zrazu nie życzyła sobie przyjąć Margockiego, ale ten polecił służącej powiedzieć, że ma interes pilny. — Panna Klara zmuszoną była wyjść.

Postrzegłszy ją stary kawaler, posunął się z wymuszoną grzecznością na spotkanie.

— Przepraszam jeśli jakie zajęcie pani przerwał. ale chciałem i potrzebowałem parę słów na osobności pomówić.

Panna Klara zarumieniała się, chociaż daleką była od przypuszczenia by — para słów na osobności, ją osobiście obchodzić mogła...

— Co pan dobrodziej każe? ale proszę zająć miejsce...

— Pani dobrodziejko -- zawołał Margocki — spodziewam się iż wielu słów potrzebować nie będę, żeby ją przekonać jak dobrze życzę całemu ich domowi... Uwierzy mi pani.

— Panie dobrodzieju! mój brat i ja doświadczyliśmy jego łaski tylokrotnie...

— Otóż i teraz z prawdziwej dla państwa życzliwości. przychodzę zaprosić pannę Zofję, aby odwiedziła i zbliżyła się do hrabiny. Uzna pani że i gustu do muzyki nabrać może. bo hrabina była uczennicą Liszt'a. i na tak dobrem towarzystwie zyska. Dla młodej osoby jest to nieoceniona zręczność.

Margocki wiedział do kogo to mówił, znał bowiem słabość panny Klary do większego świata. Z wielką uwagą przysłuchiwała mu się...

— Rzeczywiście — odezwała się namysliwszy — niezaprzeczenie... tak jest. uznaję iż dla naszej Zosiuni byłoby wielce pożądanem otarcie się o świat tak dystygowany... lecz, widzi pan... mój brat, domator, gospodarz... ma swe przesady...

— A komuż właściwiej jak pani, która żyła w większym świecie — (pochlebilo to pannie Klarze) — starać się go przekonać i nawrócić.

— Zosiunia także...

— Pani nie odmówisz w tem swojego wpływu. Przyznam się — dodał — idzie mi i o zabawienie hrabiny, ale tu interesa się schodzą... wspólnie dobro obu stron...

Panna Klara potakiwała głową.

— Niech Pan będzie pewny — odezwała się — iż całej wymowy serca i przywiązania użyję... będę się starała...

— Więc poruczam to Pani! — rzekł Margocki — a wiem że sprawa w dobrych jest rękach... Pani masz rzadki dar przekonywania!

Panna Klara zarmmieniła się z radości. wstała. pożegnała się. a wracając do kuchni nie mogła się wstrzymać od wyznania przed sobą, iż Margocki był człowiekiem rozumnym i bardzo miłym — bardzo miłym. W istocie filnt tylko wielki.

Hrabina przez ks. Wikarego kazała także prosić pana Juliana. o którym zasłyszała, iż był muzykalnym. aby się jej zaprezentował.

Stosunki ks. Wikarego z siostrzeńcem Kanoni-

ka, były dosyć dziwne. Zdawałoby się, iż niechęć dla wuja, powinna była spłynąć na siostrzeńca... działo się inaczej — ks. Leon był z Julianem, łagodny, grzeczny i skutkiem jakiejś rachuby, usiłował go ku sobie pociągnąć. Nie źle mu się nawet w tem powiodło, gdyż młody medyk, okazywał skłonność większą ku myślom i poglądom ks. Leona, niż ku prostym a trochę oklepianym prawdom ewangelicznym głoszonym przez wuja... Ten wuj tak zacny, w oczach medyka wydawał się — jakby zacofanym i na mylnej drodze. Julek z całą swą zachością życie pojmował inaczej i godził się jakoś z wikaryuszem choć — był po troszę materialistą. Nie miał też wstępu do Wikarego, a choć mu nie okazywał jawnie nadzwyczajnej sympatji — nie stronił od niego. Zosia jak ognia obawiała się pałacu i jego towarzystwa, Julian był go raczej ciekawym i wcale unikać nie myślał.

Tu miejsce może wspomnieć o ks. Leonie i jego przeszłości. Demokratyczno-ewangelicznej idei zwolennik ks. Kanonik był szlachcicem najczystszej wody — arystokratyczno - zachowawczych zasad ks. Leon... choć o tem nikt nie wiedział, gdyż taił się usilnie, miał do dziś dnia żyjącą matkę, która trzymała szynk na wielkim gościńcu. Poświęciła ona wszystko i zniósła nadzwyczajne prywacye, aby syna usposobić do stanu duchownego. marła dlań głodem, skrzywdziła córkę pono i doczekała się wprawdzie, iż syn dobił się stanowiska bardzo na przyszłość wiele rokującego — ale za to. . matki prawie znać nie chciał i ona go latami całemi nie widywała. Serce macierzyńskie dało sobie wytłómaczyć, iż matka propinatorka losowi jego wielce szkodliwą by być mogła. Ks. Leon obcując ze

szlachtą i poczuwszy za granicą, iż szlachectwo coś znaczy, a ma swą cenę, kazał sobie już wyrzezać herb... który rodzinie istotnie szlacheckiej podobnego nazwiska należał. Sam zaś przed sobą tłómaczył się, iż rodzina zubożała, a w niskim bycie i o swem pochodzeniu zapomnieć mogła. Gdy Kanonik prawdziwy karmazyn, ledwie o swoich przodkach co wiedział, a herbu nie używał przez pocziwą skromność, ks. Leon plebejusz szczerzy wyszlachecił się gwoili krescytywie.

Matka ks. Leona. szczęściem dla niego, trzymała gospodę na żwirówce o jakie mil dziesięć od miasteczka a bez, pozwolenia syna nie śmiała doń ani pisać — ani przyjeżdżać. Wzdychała biedaczka za swym jedynym, posyłała mu co oszczędzić mogła i czekała by się nad nią zmiłował. Zwykle ks. Leon raz w rok jeździł do niej, gdy na nadzwyczajne wydatki potrzebował zasiłku. Wyrachowywał się tak ażeby przybyć nocą, stawał w austerji jako prosty podróżny i zabawiwszy przez wieczór, uciekał do dnia. Siostrę, która była wydaną za leśniczego. prostej kobieciny, obarczonej pięciorgiem dzieci, od lat wielu nie widywał wcale. Z rozkazu jego matka nie powiedziała gdzie przebywał i zawsze przed nią utyskiwała, że się Leonowi źle dzieje, aby siostra do niego nie zawitała, czego się niezmiernie obawiał. Miał bowiem tę słabość, że chciał za syna niegdyś majątnej szlachty uchodzić. — Za takiego miał go i Kanonik i wszyscy tutaj, a w pałacu nawet było przekonanie, że familia z której ród prowadził, była *très comme il faut*.

Wiadomo że stary Mniszek, ostatni dziedzic Wiśniowca tylko rodowitą. odwieczną szlachtę, tem c o m-

me il faut darzyć i gdy mn pewien nie zbyt starej daty panicz, ożeniony z kuzynką jego, przyniósł swój rodowód mozolnie dociągnięty do XV w. odpowiedział — Continuez, et vous finirez par devenir des gens très comme il faut.

Ks. Leon mówił pięknie po francuzku, po włosku, znał Paryż, Rzym, Włochy... a to samo już go poniekąd nszlachcało.

Za dawnych czasów szlachcicowi za herb stała kresa na czole, teraz dosyć francuzczyzny i polityry.

Panna Klara oczekiwała na brata. przysposabiając się w duchu do walczenia, jeśli by było potrzeba, za dobrą sprawę. Margocki przekonał ją, njął i pozyskał najzupełniej. Wiedziała wszakże iż z Zosią nie pójdzie łatwo, a z bratem dla tego trudno iż on pociągnie za córką. Zbroiła się więc tymczasowo w argumenta chodząc żywo po pokoju.

Juścić jeśli brat życzy sobie losu dla córki, powinien być z tego szczęśliwym że jej się taki dom otwiera! Ale ja przeczuwam co się tu święci! Zosia ma głowę nabitą tym doktorem. który nawet jeszcze doktorstwa nie pozyskał! Przecież panna która będzie miała sto tysięcy talarów posagu mogła hy coś lepszego znaleźć, niż takiego medyka... Szlachcic i hrabia nawet by się trafił!! bo i piękna i rozsądna i wychowała ją jak niemożna lepiej. Tylko wznioślejszych uczuć nadać jej nie mogłam...

Tu westchnęła panna Klara.

Wrodzona to rzecz i tego się pono nie uahywa — to darmo...

Niech sobie brat mówi co chce, ja od mojego zdania nie ustąpię — a choćby się Zosia upierała to

nie pomoże... ja na swoim postawię... Brat ma tyle rozumu iż się da przekonać, zresztą pani hrabinie odmówić tego nie może.

Panna Klara począwszy się tak podbudzać do przewidywanej wojny, doszła do tego, że się rozgniewała na brata i Zosię, choć jeszcze z niemi nie mówiła. Sama argumentowała, sama odpierała swe dowodzenia, sprzeczała się, roznamiętniała i gdy wszedł Ostójski z córką, zupełnie spokojny, ledwie się opamiętała iż oni jeszcze o niczem nie wiedzieli.

— Niechże ja Zośce pierwsza powinszuję — zawołała podbiegając do progu.

— Mnie? czego? — spytało dziewczę śmiejąc się — cóż się stało?

— Hrabina przysłała Margockiego prosząc ciebie do pałacu...

Zosia aż krzyknęła ze strachu i przerażenia i zakrywszy także oczy, poczęła wołać:

— Za nic w świecie! za nic! jestem chora, jestem... co każecie wszystko zrobię — ale tego nie chcę... nie chcę!

Ostójski spojrzał na siostrę, na córkę i wasa pociągnął.

— Już! już! pieszczoszka się rozchodziła — przerwała ciotka — czekaj, powoli, spokojnie, pomyśl nim się będziesz zarzekać.

— Bez namysłu! i już nie chcę..

Ojciec milczał.

— No, dobrze, nie chcesz — zgoda — rzekła panna Klara uśmierzając w sobie gniew — dobrze, hrabina się obraża. przychodzi odnowienie kontraktu. ojcu

odbierają dzierżawę i idziemy z jego remanentami w świat.

— O! mój Boże! z pieniędzmi też i pracą ojcowską — odparła Zosia — to nie straszno...

Spojrzała na ojca, który wciąż wąsy kręcił.

— Nie prawdaż ojciec?

— Już ciż człowiek sobie zawsze na świecie kąta znajdzie — rzekł powoli — chociaż znown. rumacya — moje dziecko — nie mała rzecz... nie mała.

— I dla czego? dla tego że pieszczonej panience nie chce się wystąpić, gdzie? w salonie takiej pani, która na królewskich dworach jak najlepiej jest widziana. Przecież hrabina słynie z jak najlepszego toonu, przecież to pański dom... W dodatku uczennica Liszta... Ty zawsze mówisz, a! żebym to ja mogła nabrać stylu, stylu... a gdy styl sam do ciebie idzie, to żeby się trochę nie zakłopotać, odpychasz go! Samaż powiedz? czy to...

— Czy to rozumnie? — podchwyciła Zosia. — Cio-cia chciała powiedzieć, czy to rozumnie.

Zosia była chłodna i nie unosząc się pocałowa-wszy ciocię w ramię, zaczęła.

— Niechże ciotka mnie posłucha. Nie przeczę że mogę nabrać stylu, lecz i świat ten i ludzie i życie nie dla mnie. Nawyknąć do nich jest to sobie może za-truć życie. Nuż ja się rozkocham w błysku. w elegancyi, w tych obyczajach... to co?

— A! jak Boga kocham — Zosia ma słuszność — rzekł Ostójski.

— Zofia u ciebie zawsze a ja nigdy nie mam słuszności. mój bracie — trochę urażona odezwała się pauna Klara, — Cóż to ona ma zaraz się popsuć pa-

trząc na jedwabne suknie hrabiny? Jakiż to tak niebezpieczny świat i towarzystwo! Co to za przypuszczenia!

W miarę jak się rozogniała panna Klara, do coraz wyższego wznosiła się stylu.

— Ojcie nieopatrzny! zawołała — dziecię od kołyski uczysz samowoli! Tak! Cobyś miał ją nakłonić ażeby korzystała z jedynej może sposobności wdrożenia się w układ wielkiego świata, ty ją w niziny i poziome sfery sprowadzasz. Zasklepiona jest miłość twoja... człecz niebaczny.

— E! e! daj no pokój! daj pokój tej retoryce — przerwał Ostójski — mnie to nie porusza bo ja tego się nasłuchałem. Gadajmy po ludzku... Na co ja mam Zosię męczyć...

— A cóż to za męka? włoży sukienkę i pójdzie z tobą albo ze mną. trochę się za pierwszą bytnością porumieni — zakłopotce... trochę się zażenuje, a potem sama ci dzięki składać będzie.

— Jeśli moja niebytność może ojcie ściągnąć jakąś nieprzyjemność... a no, pójdę! rzekła Zosia po namyśle — ale... ale... zobaczycie państwo że mnie tam bardzo potem zapraszać nie będą, na taką się im prostaczkę wystrychnę.

Ciocia ręce załamała.

— Ty byś śmiała! krzyknęła.

— Słuchaj ciociu droga — marsa strojąc strasznego odezwała się Zosia — czy wy myślicie że oni mnie czemkolwiek w świecie imponują? ani tonem, ani pałacem, ani imieniem, ani ekwipażami, ani francuzczyzną, ani temi cesarzami z którymi się kumają! Są to ich zabawki dziecinne... a ja dzieckiem nie jestem

i moje lalki dawno rzuciłam w kąć... Oni ze swemi długami, próżnością, komedjami salonowemi, pożyczanym językiem. obyczajem. myślą... wydają mi się — wie ciocia co? — śmieszni...

Na pannę Klarę uderzył rumieniec, który się zmienił w błądź.

— Moja Zosiu — szepnęła ścinając usta — złe książki i może nie właściwe towarzystwo nabiły ci głowę temi ideami demokratycznymi... Człowiek powinien zdążać ku wyższemu, a nie dobrowolnie leżeć — w błoto.

— Ku wyższemu! zgoda! ku bohaterom, świętym, czystym, ludziom ofiary — a! ciociu! idźmy! spinajmy się, naśladujmy... ale salonowa ta wielkość, to szych i świecidełko co tylko przy lampach złudzić może, a blasku słońca nie wytrzyma.

— Oto masz, oto masz — obie ręce wyciągając patetycznie ku bratu, zawołała panna Klara — oto są skutki tej literatury, tych polskich książek które mi ja karmiłeś. Tylko braknie żeby się w chłopie zakochała i za niego za męża poszła.

— A — gdyby chłop był i oświecony i zacny i podobał mi się — to co? spytała Zosia — myśli ciocia że jabym się zawahała?

Ostójski nie śmiał córce się sprzeciwić, ale głęboko westchnął, stare jego szlachectwo odezwowało mu się w sercu.

— Co bo to gadać! co bo to siostra na takie rzeczy naprowadza rozmowy... kiedy tu nie o to idzie -- począł bąkać chodząc po izbie z rękami w tył założone. — Ja Zosi do pałacu nie zmuszam; a, co prawda. że towarzystwo może miłe, żeby zaś miało być bar-

dzo młodym zdrowe. nie powiem. Przytem pojmuję że gdzie człowiek nie czuje się równym i za równego uznany nie jest. tam mu źle i ciasno...

— Duma, dumka w Zosi gra — przerwała panna Klara — niechce się hrabinie, która jest urodzoną w książęcym domu, pokłonić... Panuje tu na folwar-ku... więc...

Zosia się mocno zarumieniła i posmutniała a wyraz jej twarzy pochwyciwszy ojciec zasepił się i z wyrzutem spojrział na siostrę.

— Moja ciociu, ja nigdzie panować nie chcę... ale też nikomu się sponiewierać nie dam... Trzeba tego dla spokoju ojca — pojadę do pałacu — o cóż idzie — a tam. będę się umiała znaleźć jak przystało... więc dosyć...

To mówiąc Zosia wzięła kapelusz i szal rzucone na krzesło i spokojnie wyszła do swojego pokoju. Ostójski został ze spuszczoną głową, panna Klara, w której jeszcze zburzonych uczuć i myśli zostało podstatkiem nie wyszafowanych—zdziwiona i zakłopotana ujrzała się w obec brata wprowadzie zwyciężką na placu boju — ale mocno zmieszaną co dalej począć miała.

Ostójski wziął ją za rękę.

— Po co Zosię drażnić? na co to takie rzeczy pleść? do czego? No widzisz siostro, widzisz... Zosia się zburzy, odchoruje... a ty będziesz wszystkiemu przy- czyną.

— Odchoruje! zburzy! powtórzyła Klara — aćpan jesteś ślamazarnik, dziecko pieścisz... a o prawdziwym jej dobru zapominasz... Rozpieściłeś — i, po wszyst-kiem.

— Róbcie sobie co zechcecie — ja wiem że ja tu głosu nigdy nie mam, choć więcej świata widziałam niż wy wszyscy. Umywam ręce... dobrze! dobrze! nie mieszam się do niczego. Jedźcie, nie jedźcie! mnie to wszystko jedno!

To powiedziawszy zakreśliła się i wyszła. Ostój-ski z założonemi w tył rękami pochodził po pokoju, potem jakby sobie co przypomniął, wybiegł do gumien-nego i zajął się rozporządzaniem robocizny na jutro.

Leczyło go to zawsze w podobnych utrapieniach domowych.

Zosia w swoim pokoiku siedziała na kanapce zamysłona ale nie zbyt tem wszystkiem wzruszona. Domyslała się ona lepiej od innych, że w tem wszystkiem grał pewną rolę Margocki. który żywił jeszcze nieobjawioną widocznie nadzieję pozyskania jej serca i ręki.

Zosi wydawało się to po prostu śmiesznem, bo jego żargon, pański ton, dystynkcyja nabyta, wcale się jej nie podobały i nie przypuszczała żeby ją co zniewolić mogło do zadania gwałtu sercu... Powiedziała sobie że z zimną krwią da mu przy pierwszej zręczności poznać ażeby głowy próżno nie nabijał rzeczą niemożliwą.

Kochała Juliana od dzieciństwa... Więcej niż staranie p. Margockiego przestraszał ją chłód młodego człowieka, z którego niczem dobyć nie było podobna najmniejszej uczucia oznaki.

Myślała więcej o nim niż o tych strasznych od-wiedzinach w pałacu — nie miłych wprawdzie ale obo-jętnych.

— Co się Julkowi stało? — mówiła sobie — tak się zmienił, że ja, com tak jasno w duszy jego widziała

wszystko, teraz w nią już zajrzeć nie mogę. Czyste jej wody coś mi zmaciło... Inny człowiek, zimny. bez czucia — ostygły, obojętny. broniący się nawet wspomnieniom! — Widocznie nie chce mnie, lęka się — stroni — trzeba przecierpieć... przeboleć... przeczekać... przemilczeć. Potrafię wszystko... Być nie może by tak rychło serce i dusza tak poczwarnie się skrzywiły... zmieniły. żeby zapomniał, żeby nie czuł. Będę z daleka badać go i patrzeć... udam i ja, gdy potrzeba — obojętną... Zobaczymy.

Na te dumy, drzwi uchyliwszy. ostrożnie wśliznął się ojciec cicho, zadysponowawszy robotę. aby zobaczyć co się z kochanem dziecięciem dzieje.

— Co ty tak siedzisz po cienku — zapytał.

— Odpoczywam — szepnęła Zosia — trochę byłam zmęczona.

— I Klara cię napadła — ale ty się tem nie gryż... zrobisz co ci się podoba... ja cię zmuszać nie będę. Nie odnowią mi dzierżawy. Bóg z niemi. znajdziemy inną.

Pocałował ją w czoło, a ona go w rękę.

— Mój tatku — rzekła — niema o czem mówić, trzeba bądź co bądź do pałacu pojechać... a tam... ja, nie popełnię żadnej niedorzeczności... tylko, tylko będę sobą i jak mnie Bóg, stworzył. Niepodobam się, nie poproszą mnie więcej i — na tem koniec... Cio-cia — szepnęła ciszej — czasem się tak potrzebuje wyburzyć — ale jej to przejdzie.

Ostójski uściskał jeszcze raz nic nie mówiąc córkę.

— Ty jesteś złote dziecko... ty moja najdroższa!

mój gołąbek biały! ja wiem — rzekł — że ty sobie rady dasz... i będę spokojny.

— Tak! tak! nie trzeba z małych rzeczy robić wielkich! uśmiechnęła się smutnie Zosia...

Owa przygotowana burza skończyła się na tem. Na próżno przy wieczerzy próbowała ją wywołać znowu panna Klara — Zosia się uśmiechnęła, powiedziała po prostu — o cóż chodzi? pojedę do pałacu... i za milki.

Margocki, który wszelkiego rodzaju sprawy umiał prowadzić z niezaprzeczoną talentem, a przyjaciele nawet często go uniwersalnym zwali człowiekiem — zarysował sobie zawczasu plan kampanii, której celem było zdobycie serca panny Zofii.

Rachował on wiele na olśnienie dziewczeczki osobistymi przymioty swojemi — ale ubocznych pomocniczych środków nie chciał zaniedbywać. Wiedział że dziecinna jakaś miłośćka istniała między Zosią a Julianem, ale przez ks. Wikarego był uwiadomiony, iż młody medyk wystygły był i jakby się chciał wycofać. Należało go zupełnie od panny oderwać i przekonać ją, że na miłość nie zasługiwał. Margocki ku temu miał już środek napięty.

Hrabina, która potrzebowała towarzystwa, muzyki, rozmowy, roztargnienia, a sama sobie zostawiona śmiertelnie się nudziła, wozila z sobą zawsze albo jakiegoś doktora, albo fortepianistkę lub jakąś towarzyszkę. Od lat dwóch w niezmiernych u niej łaskach była Włoszka, rodem z Mediolanu, panna Carita Selvi; osoba piękna bardzo. muzykalna wielce, śpiewająca dosyć mile, grająca na fortepianie z wielką wprawą i uczuciem. O przeszłości jej hrabina wie-

działa tylko tyle ile ona sama opowiadała. Przez jakiś czas występowała pouo na scenie jednego z paryskich teatrów, potem dawała lekcye w Paryżu. Hrabia naprzód brała ją do grania na cztery ręce, potem podobawszy sobie, zatrzymała stale i można powiedzieć, że w niej zakochaną była.

Signora Carita Selvi mogła się w istocie podo-
bać, powierzchowność miała śliczną... typ w niej włoski, południowy nie z tym swym ogniem wybuchającym gwałtownie występował, który często raczej przestrasza niż pociąga, ale jakby mgłą okryty, złagodzony, łzawy, cały w sobie zamknięty. .Prześliczne jej nadewszystko oczy czarne, z pod długich rzęs patrzyły coś mówiąc tak nakazująco, tak tajemniczo, tak otumaniająco iż ich potędze oprzeć się nie było podobna. Wzrokowi towarzyszył uśmiech łagodny, smętny, i wyraz twarzyczki melancholijny i namiętny razem.

Coś tajemniczego, skrytego było w niej całej, w postaci, chodzie, uśmiechu, mowie, wzroku... jakby w przeszłości niedojrzanej pogrzebała coś straszego, co uśmiechem jak mogiłę kwiatami trzeba było przyśłonić. Carita nie była nigdy ani wesołą bardzo, ani nazbyt ożywioną, z nowymi znajomymi dziecinnie bojaźliwą, ale gdy raz strach ten przewyciężyła przylgnąć umiała, przytulić się, jakby szukała opieki i obrony... Z łatwością dziecięcą potem i naiwnością dziecinną zabierała sobie ludzi i pętała ich tem że się do nich przywiązywała, że im zdawała się ufać bez granic.

Trudno zresztą określić wrażenie jakie Włoszka czyniła — to pewna że mężczyźni na zabój się kocha-

li — a ona — niby wszystkim nie broniła, niby sprzyjała serdecznie każdemu, nśmiechała się, oczyma wabiła a mimo to... pewnych granic przekroczyć nie dawała. W roku przeszłym młody hrabia rozkochał się był w niej śmiertelnie, lecz po pańskn. Zdawało mu się że panienka. mnnyczka jakaś, aktorka, będąca na żołdzie matki jego, łatwą będzie dlań pastwą, rzucił się tedy ku niej po szalonemu... Carita pozwoliła mu rozpocząć romans... nie unikała wcale, nie dziczyła się bynajmniej, dopuściła go do napisania listn, na list odpowiedziała nader rozsądnie... nie zerwała grzecznych stosunków, wodziła go całe lato, ale z taką sztuką unikała (nie dając tego poznać) wszelkiego niebezpiecznego spotkania iż hrabia sam z pełną nie wiedział jak mu się — wysliznęła...

Margocki nie równie zręczniejszy od hrabiego. a mający to za sobą że mógł poddać myśl o małżeństwie, potajemnie szalał dla niej. wzdychał, chwycił wszelkie możliwe środki spotkania się sam na sam, intrygował, straszył, desperował, listy pisał i tak samo wyszedł jak hrabia...

W tem wszystkiem najdziwniejszem było, iż Carita zdawała się mieć upodobanie w prowadzeniu takich zakulisowych intryzek, i nie tylko ich nie unikała, ale podsycala oczyma, nśmiechem, wielce dwuznacznemi słówkami. Całą jej obroną było, że zdawała się nie wierzyć w prawdziwość gorących nczuć, jakie jej okazywano — i brała je za grzeczne żarty, za galanterię bez-konsekwencyi.

Margocki straciwszy dużo czasu na prózne czułości dla pięknej Carity, która była tak naiwną że się

hrabinie spowiadała z nich, śmieszając ją powieściami temi — wpadł teraz na myśl dać jej na łup Juliana...

Zaraz drugiego dnia, gdy hrabina listy pisała w swoim gabinecie, a Carita biegła od niechcenia po fortepianie, próbując czy był dobrze nastrojony, zbliżył się do niej z grzecznym uśmiechem, oparł na Erardzie i z cicha począł rozmowę.

— Znowu tedy wróciłaś pani na większą mękę naszą! — rzekł z westchnieniem — jeszcześmy nie odboleli tych ciosów, które jej oczy nam zadały... przeszłego roku...

— Jako — my? — spytała.

— Wszakże kto miał szczęście zbliżyć się do pani. każdy się w niej śmiertelnie zakochać musiał.

— Sądzisz pan?

— Jestem pewny, młody hrabia szalał, ja waryowałem, doktor Sz... odchorował... posądzam nawet ks. Wikarego że z miłości pożółkł tak...

Uśmiechnęła się i poczynając tryl — szepnęła:

— Jaki pan jesteś złośliwy!

— Ja! ja jestem sercem i dobrocią samą.

— A żartujesz pan sobie ze mnie.

— Czyżbym śmiał!...

Milczenie.

— Mam do pani jedną prośbę...

— Cóż takiego? — Poczęła passaż sekstami.

— Będzie tu pewnie dziś lub jutro młody człowiek... przyszedł doktor... ubogi chłopak. młody i ładny... ale nadzwyczaj zimny... obojętny, wystygły... Wszyscy powiadają, że nietylko w życiu się swoim nie kochał, ale nie może kochać się nigdy. — Spróbuj pani na nim ślicznych oczu swoich... Ja — przyznaję się zrobiłem

zakład gruby, że pani mu głowę zwróciysz... Zawróć mu ją pani.

Podniosła czarne oczy i patrzyła długo na starego cynika, patrzyła tak że się aż zmięszał, bo w tem spojrzeniu był smutek, politowanie i potęga niezmierna.

— Głowę zwrócić?—rzekła,—O! to nie trudno, bo ona u was panowie, kręci się łatwo — ale serce wyszukać i niem owładnąć?

— Ja jestem tego przekonania, że się głowa zawraca gdy się serce opanuje...—rzekł Margocki.

— A! nie! u panów miłość wchodzi przez głowę i często do piersi trafić nie może, a szukając serca znajduje pustkę.

Zaczęła grać głośno, Margocki nie ustępował.

— Zrób pani doświadczenie na młodym człowieku... —dodał śmiejąc się,—bądź co bądź — da mu to zawsze chwilkę szczęścia lub marzenia. Więc choć spiskuję przeciw niemu, nie wiele grzeszę. Przy tem, wie pani co—medyk, młody, piękny, ma nadzieję świetnej przyszłości, jest wolny... któż wie!... mógłby... — (Zatrzymał się).

— Ożenić się? — spytała naiwnie z uśmiechem. — Czy pan sądzisz że ja tak za męża wyjść pragnę?

Margocki począł, spuściwszy oczy, bębnić palcami po desce fortepianu.—No—alboż—nie?

— Nie—to smutna rzecz pójść za męża. *La pièce est finie, le rideau est tiré... et adieu l'espérance...* Nie... nie! ja nie wyjdę za męża. *C'est triste! triste! triste!*

— Nawet kochając?—spytał Margocki.

— Tem bardziej! — pokręciła główką — miłość jest

ślicznem marzeniem, a małżeństwo rzeczywistością, po co się budzić, gdy się śni o szczęściu...

— Ja wracam do p. Juliana.

— A! ma imię Julian? Giuglio, ładne imię...

Popatrzała śmiejąc się na łysinę Margockiego zręcznie na pół tupecikiem przysłonioną.

Plenipotent podniósł się, westchnął mocno, Włoszka roześmiała się, wstała od fortepianu i poszła do hrabinej. — Margocki był pewien, że bardzo zręcznie rzucił zapalkę na prochy.

Hrabia. rzekł w duchu, urażony tego roku będzie się trzymał zdala aby ją ukarać za to, że go ocenić nie umiała, ja rezygnuję. abdykuję i zwracam się ku panie Zofii — pozostaje pannie Caricie Julian... a że ona nie wytrzyma by oczyma kogoś nie paliła... padnie ofiarą... Zatarł ręce.

W kilka dni hrabina kazała Margockiemu prosić na herbatę wszystkich z folwarku i z probostwa.

Dla wielu co się wymówić od tych odwiedzin nie mogli, było to straszne utrapienie. Naprzód ks. Kanonik do nowej sutanny i urzędowego stroju nie był nawykły i chodził w nim jak w pożyczanym. a towarzystwo pałacowe nie było mu też do serca. Siostra jego, choć bardzo by mogła w najwykwintniejszym salonie znaleźć się wedle jego obyczajów, bo odebrała wychowanie bardzo świetne i świat ten nie był jej obcy—nie pokazywała się od dawna między ludźmi, nie mając się ani w co ubrać, ani humoru swobodą wymaganiom towarzyskim odpowiedzieć. Ona więc po prostu podziękowała za zaszczyt i kazała przeprosić. Julian musiał pójść, a choć jego garderoba w dość studenckim była stanie, jakoś ją z biedą potrafił dopełnić

Krawat i kamizelkę matka własnymi rękami odnowiła i wyprasowała.

Na folwarku panna Klara była niesłychanie zajęta sobą i Zosią. Miała trzy suknie jedwabne, a wszystkie okazały się zleżałe i nie świeże; potem Zosia nie chciała się tak ubrać jak ona życzyła. Ztąd spór żwawy... patetyczne występy, a ostatecznie zostało dziewczę przy białej sukience i złotej bransolety, którą miało od ojca, nie włożyło... P. Ostójski kłopot miał z białymi rękawiczkami. P. Klara utrzymywała że żadnych innych włożyć nie podobna bez uchybienia domowi i okazania nieumiejętności znalezienia się — a jedyne ex-białe jakie w szufladzie się znalazły jeszcze z zaprzeszłorocznych zapust, były i poprute i zbrudzone niegodziwie. Spadł tedy na pannę Klarę obowiązek przywrócenia im pierwotnej fizygnomii — co z lewą dosyć szczęśliwie się udało, prawa zaś do życia nowego wskrzeszoną być nie mogła. Żywy umysł p. Klary wskazał Ostójskiemu sposób przyzwoity ukrycia tego defektu, zaleciła mu ażeby na lewą rękę włożył rękawiczkę, a w prawej trzymał drugą, której kalektwa nikt w ten sposób dojrzeć nie mógł. Było to nawet wedle panny Klary. bardzo z szykiem, jedną rękawiczkę trzymać tak podartą, okazując pewne lekceważenie dobrego tonu—dla wyrobów rękawicznich i tego tam talarą głupiego który się za nie płacił.

O godzinie naznaczonej Ostójski, panna Klara i Zosia siedli do poczwórnego koczka, boć piechotą choć blisko iść nie wypadało. Woźnicy wydano ze składu nowy kapelusz i białe perkalowe rękawiczki... ruszono.

Ks. Kanonik z zapasowym parasolem niebieskim

szedł pieszo, Julian wziął laseczkę tylko... ks. Wikary ich wyprzedził.

Herbata podaną być miała na ganku od ogrodu i parku, gdzie już hrabina siedziała w krześle z lornetką nieodstępną, dzierzgając jakąś Cluny, ubrana przepyszuie w suknię jedwabną koloru Bismarckowskiego z czarnemi koronkami. Przy niej piękna Carita, która zawsze chodziła czarno — wiedziała że jej z tem było do twarzy... szczebiotała dosyć wesoło. Wikary trochę opodal w nowej sukience, w pasie czarnym, przeglądał jakąś książkę, niekiedy mieszając się do rozmowy. Margocki chodził po ganku gryząc w ustach gałązkę, naostatek młody hrabia w stroju rannym, dosyć poufałym, nogi sparsłszy na stołeczku i skrzyżowawszy dla wygody tak że wyższe kolano na równej z brodą było linii, palił sobie cygaro. Jeden palec swobodnej ręki założony miał bardzo elegancko za wykrojony rękaw kamizelki.

W takim rozkładzie zastało towarzystwo pałacowe przybycie panny Klary, Zosi i Ostójskiego, który posłusznie rękawiczkę podartą trzymał razem z kapełuszem... Hrabina nieco się poruszyła na fotelu nie wstając, młody hrabia rzucił cygaro i powoli dobył się z głębin krzeselka. Wikary powstał, Margocki pospieszył gościom towarzyszyć. Hrabina pilnie przez lornetkę naprzód poczęła się przypatrywać Zosi, na którą oczy Carity i hrabiego były też zwrócone...

Dzieweczka zaledwie trochę żywszym niż zwykle okryta rumieńcem, wcale nie zmieszana, swobodna, przywitała się grzecznie... Panna Klara była poruszona „do głębin duszy“ jak później mówiła. — Po pierwszych kilku słowach, gdy siadać już miano, wszedł Ka-

nonik i Julian. Hrabina przez wierność zasadom wstała na powitanie duchownego i chciała go nawet pocałować w ramię, do czego jednak nie przyszło. Usnieniem potem przyjęła bladego Julka... i... wszyscy miejsca zajęli. Carita nie spuściła ani na chwilę z oka młodzieńca, który jej był zapowiedziany jako pièce de resistance, zdawała się z głęboką uwagą badać z twarzy i postawy czem i kim on być mógł. Zapatrzyła się nawet tak bardzo iż Margocki jej szepnął.

— Zgubiony jest, a ja zakład wygrałem.

Julian wszakże oczów tych zrazu nie postrzegł, był nieco zmieszany... przyglądał się hrabinie i jako medyk mimowolnie myślał o temperamencie jaki powierzchowność zdradzała. Nierychło dopiero oczy podniósłszy spotkał wejrzenie Włoszki i — olśniony widocznie zapatrzył się w nią — typ był dlań nowy.

Zosia jak w pierwszej chwili nie okazała najmniejszej trwogi, tak też pozostała panią siebie do ostatka. Na pannie Klarze znać było przejęcie ważnością tego uroczystego aktu i obawę aby siostrzenica nie strzeliła umyślnego bąka.

Zbliżyła się do Zosi Carita i bardzo uprzejmie starała się ją zabawić. Młody też hrabia, który miał wzrok równie słaby jak matka, szkiełko aż wbił w oko by się lepiej Zosi przypatrzeć.

Nawykły po miastach i po salonach, do przywydłych nieco lub sztuką odświeżonych twarzy, zachwycony był urokiem tej prawdziwej młodości, tej wiosenki wesołej, niewinnej, która błyszczała w oczach dziewczęcia.

Odciągnął na bok Margockiego.

— Ależ to dziewczyna! — zawołał, — ah! czy jeśli

to ta o której mi mówiłeś, że się masz starać ochotę—
je vous en fais mon compliment, jak poziom-
ka... Tylko, savez-vous coś bardzo śmiało patrzy...

Margocki stał olśniewy także i napuszony nieco.

— Hrabio — jeśli mi trochę pomożecie — będzie mo-
ją. Tylko starego trzeba nastraszyć odebraniem dzier-
żawy i procesem przy wyjściu, a wezmę ją... i będę
wam wdzięczny do śmierci.

Zamysłony hrabia nic nie odpowiedział — potem
się zwrócił do Margockiego. — Czy i posażna? — spytał.

Plenipotent nie zastanowiwszy się szepnął: — sto
tysięcy talarów.

— Dla ciebie!! — rzekł hrabia. — a toć to niebiosy by
się otwały!... tu ferais le grand seigneur a
ton aise, avec cent mille — pardieu — sachant
le faire sans sous ni maille.

Ostatnie wyrazy były impertynencyą, ale Mar-
gocki od dobrych swych przyjaciół przyjmował wszyst-
ko jak teraz skrzywionym nśmiechem.

Tymczasem Zosię zaczepiała hrabina, nie mogąc
inaczej. po francuzku, gdyż w polskim języku zaledwie
się z lokajem i ogrodnikiem rozmówić mogła. Zosia
mówiła pięknie i łatwo, nie zakłopotano ją to bynaj-
mniej.

Słyszałam że pani jesteś bardzo muzykalną. —
rzekła, — to mnie cieszy, z trochę egoistycznych powo-
dów. Carita... muzykalna także, na cztery ręce ani
mnie ani chce grać... a ja to tak lubię!!

— A pani, — odpowiedziała Zosia, — ja i muzykalną
tak bym się ośmieliła popisywać, nie jestem, i na czte-
ry ręce nie grywam wcale.

— A moje dziecię — to będzie dla ciebie z korzyścią

gdy się nauczysz, a ja ci z przyjemnością służyć będę za nauczycielkę... Wiesz że moim był ten nieoszaczany, dobry, genialny nasz Abbate, Monsignor Liszt.

— Wiem pani i to mnie tem większym strachem nabawia!

— A lubisz muzykę?—spytała hrabina.

— Któżby muzyki nie lubił! — zawołała Zosia, — muszę się jednak przyznać, że ona dla mnie jest miłą życia przyprawą, ale samem życiem... nie...

Hrabina trochę zdziwiona wyrażeniem, spojrzała przez lornetkę jakby twarzą powiedzieć chciała: bardzoś śmiała, moja panienko...

Carita też z uwagą zaczęła się przypatrywać dziewczęciu.

— Nie dziwię się,—zaczęła powoli dostojna pani,— że panna Zofia, acz lubi muzykę, nie roznamiętnia się dla niej. Na wsi... nie słysząc wirtuozów...

— Ja pani, — przerwała Zosia, — słyszałam ich trochę...

— A! gdzie!—z lekką ironią spytała pani.

— W Paryżu i we Włoszech...

Hrabina, która nie wiedziała iż Zosia z ojcem tę podróż odbyła, pokiwała głową.

— Wielkie to szczęście świat widzieć szerszy i wyżej pod wszelkimi względami stojący od naszego biednego zakątka.

— A! pani! ale to kątek najmilszy w świecie, bo to ziemia nasza, bo to Polska—ojczyzna...

P. Klara zbladła, milczenie głębokie panowało chwilę, wszyscy czuli się zakłopotani tym wystrzałem szowinizmu biednej Zosi, która dojrzawszy łatwo skut-

ku wywartego, uśmiechnęła się nieco — nie zmieszala wcale.

— Tak! święte to uczucie przywiązania do kraju, — lodowato mówiła hrabina, — ale ono nas zaślepić nie powinno! Myśmy jeszcze tak nisko.

— Aleśmy byli wysoko, — odparła Zosia śmiało, — a i wspomnieniami żyć można.

— Bardzo rezolutna! — szepnął młody hrabia Margockiemu.

— Mais elle est charmante la petite avec son patriotisme si naïf et si bien senti! — szepnęła półgłosem stara hrabina do Carity, odpowiadzawszy wprzód Zosi grzecznem słówkiem.

Panna Klara napróżno dawała znaki siostrzenicy, nie one nie pomogły. Rozmowa która się stała powszechniejszą, dozwoliła Zosi równie stanowczo i oryginalnie odezwać się kilka razy. Ciocia była pewną że się dziecię gubi — truchlała — tymczasem — stało się co się często dzieje. hrabina, młody hrabia, znudzeni monotonią codziennego swego towarzystwa, serwilizmem otoczenia do którego nawykli, znaleźli Zosię nadzwyczaj miłą, dowcipną i — zachwycającą. Zosia, która sądziła sama iż zrazi ich do siebie — pociągnęła... Śmielszy ton jej odpowiedzi poprowadził rozmowę z wybitych kolej zwykłych, na nieco świeższą drogę... ożywili się wszyscy... rozweselili i hrabina w końcu poszła aż uściskać Zosię.

Potem poprowadzono ją do fortepianu — ale wymówiła się od grania. Nieszczęśliwa służebnica Carity musiała usiąść posłuszna i grać coś Chopin'a, coś Henselt'a... Dała się nawet uprosić sama pani i zagrała Liszta ustęp z węgierskiego Rapsodu... z wielką

siłą i wyrazem... Po tych dwóch wystąpieniach, gdy bardzo nalegano na Zosię, wymawiała się nieco — ale sądząc że byłoby zbytciem miłości własnej nie dać się słyszeć, rzekła w końcu:

— Ja, jako niedawna pensyonarka... cóż zagrać mogę... niestety! chyba oklepaną Beethovena Sonatę.

— Oklepaną! powiedz nieśmiertelną, — przerwała Carita,—i graj pani.

Tę Sonatę—jedną z najtrudniejszych, którą nie-raz Liszt grywał na koncertach, Zosia odegrała z zapalem wielkim i wybornie.

Hrabina, która słuchała z uwagą i przejęciem, wstała potem poważnie, przyszła do niej i ściskając jej rączkę rzekła:—kto tak gra tę Sonatę. ten wszystko grać może.

— Prócz rapsodyi Liszta, — odpowiedziała Zosia śmiejąc się.

Wieczór i herbata, które obiecywały się nudno i smiesznie, wypadły dzięki Zosi tak szczęśliwie. przeleciały tak chyżo, iż gdy się żegnać przyszło — niepostrzeżono jak strasznie późno było.

Czas dla nikogo nie został stracony oprócz Margockiego, który doznał zawodu. Skromniejszej roli spodziewał się on dla Zosi, a świetne przyjęcie odsunęło ją od niego. Zbliżył się za to hrabia. okazując wielkie zajęcie tą—śliczną dziewczeczką wiejską.

Kanonik po krótkiej rozmowie z hrabiną i Ostójskim. wysnuł się na plebanję. Wikary, domowy prawie pozostał do końca z ironicznym uśmiechem. ze złośliwym twarzy wyrazem śledząc spojrzenia i ruchy.

Julian byłby zupełnie zapomnianym gdyby nie

Carita. Jakoś się tak złożyło i składało, że litościwa panienka była albo blisko. albo koło niego, lub przy nim. Mówili wiele i po cichu; jeszcze więcej ona wpa-trywała się w niego natrętnie. nielitościwie tak, iż często medyk obawiając się fizyologicznych jakich następstw niepotrzebnych, oczy spuszczać musiał. Carita była tego wieczora tak prawie piękną jak Zosia, w innym tylko rodzaju. P. Ostójska podobną była. wedle starego porównania jeszcze z czasów Anakreon-ta, do rozwijającego się pączka... Carita do kwiatu który omdlał na łądździe. W pierwszej życiu wszyst-ko było nadzieją. w drugiej wiele tajemnicą i wspom-nieniem. Julian sentymentalnym nie był wcale, me-dycyna uczyniła go nawet dosyć rozczarowanym — ale młody... doznawał od tych oczu zabójczych jakiejś go-rączki, która aż w poezję go rzuciła.

Nie podobało mu się zresztą że Carita była tak dziwnie dlań, tak wyszczególniająco grzeczną. Mar-gocki który patrzył z boku uśmiechał się mefistofele-sowskim śmieszkiem — Zosia widziała także iż Julian był prawie ciągle z tą Włoszką, która się jej też wy-dała strasznie piękną — serce się jej ścisnęło, ale im mocniej ból czuła tem usiłowała być weselszą. Nie-pokój, zazdrość. smutek wybuchnęły dopiero łzami, gdy powróciwszy na folwark. pomodliwszy się długo, długo, poduszkę swą oblała płaczem nieutulonym.

Paaua Klara która zrazu przygotowaną była do kłótni, do nauk, musiała milcząco przyznać że Zosi się — udało.

— Ja mówiłem. — szepnął siostrze dając dobranoc, my wszyscy przy niej głupi... to dziewczyna genialna!

Ty jej daj pokój! to! to! wie ona co, gdzie, jak powie-
dzieć, i jak się znaleźć...

P. Klara ruszyła ramionami i pokiwała głową.

— Przyszłość okaże!—odezwała się patetycznie od-
chodząc.

Rachuby ludzkie, chociaż by one na najgrunto-
wniejszych oparte były podstawach i umysł nad niemi
najlogiczniejszy pracował, chybiają prawie zawsze.
Mówiąc językiem matematyków mają one w sobie
zawsze zbyt wiele liczb nieznanых, ażeby dobrze wy-
paść mogły. W rachunek wchodzi serce ludzkie, któ-
re najczęściej zawodzi, charakter który podlega wy-
jątkowym i nieobliczonym metamorfozom, wreszcie
zewnętrzne wpływy, zupełnie nieprzewidziane. Nie-
zmiennie więc rzadko to co człowiek osnuł pracowicie,
spełni się po jego myśli, a najdziwniejsza to, że gdy
cel osiągnie, znajduje iż to czego pragnął wcale jest
czem innem niż się spodziewał. Fatalizm turecki jest
niedorzeczny, ale wiara w rozumną opatrność nieu-
chronna. Jest bowiem w sektach logika uderzająca,
choć czasem nie rychła i z Heglem powiedzieć można
zawsze — alles was war ist, ist vernünftig.
My powiadamy lepiej a toż samo — Bądź wola Twoja.

My powiadamy! Tak napisaliśmy wprawdzie, ale
jakże rzadko powiadamy, bądź wola Twoja, a jak czę-
ściej daleko: bądź wola moja!

P. Margocki nasz właśnie podług tej woli swej
osnuł plan kampanii, której pierwsze zaraz wypadki,
dały mu niezmiennie do myślenia. Szło wszystko nie
podług jego zawczesnego obrachunku.

Po pierwszej bytności w pałacu. odwiedziny Zo-
si, która wcale nie czuła do nich wstrętu, pana Juliana

i innych osób z okolicy, powtarzały się niemal codziennie. Hrabina potrzebująca rozrywki w stosunkach u wód i na wsi nie była zbyt przebiegająca; — wiedziała że to za sobą żadnych nie pociąga następstw — Zosia ją bawiła oryginalnością swoją, Julian się jej podobał zarówno jak Caricie. Nie nawykła do ludzi z tego świata który wszystko bierze poważnie i do serca. znajdowała go wyższym nad innych, bo z nią nie grał komedyi miłości i był grzeczny a na pozór chłodny. Włoszka wolała ten chłód pełen uszanowania, pod którego lodami czuła gorejące żary, niż częste umizgi ludzi, którzy kochać nigdy nie mogli.

W czym się najfatalniej przerachował, jak mówią. Margocki. to w wypuszczeniu z klub swoich młodego hrabiego. Tymczasem hrabia Edmund od pierwszych odwiedzin Zosi mocno się nią zajął. Margocki nie przypuszczał żeby to na seryo czemś innem być mogło, nad płochą zabawkę, ale go to niepokoiło... Ile razy się spotkali hrabia mówił, rozpytywał tylko o Zosi. nareszcie jednego dnia niespodzianie oświadczył że wypada mu za matkę i za siebie być z odwiedzina-
mi na folwarku, zabrał Margockiego i pojechali.

Zosia przyjęła ich ani zdziwiona, ani do zbytku tym honorem przejęta, a choć ojciec i ciocia występowali tak że cały dwór się poruszył i tysiące bąków postrzelano z wielkiej gorliwości, ona pozostała po swojemu. wesołą, grzeczną ale bynajmniej nie poruszoną.

Wróciwszy z tych odwiedzin, nazajutrz gdy Margocki przyszedł rano do hrabiego. zastał go zadumany w fotelu i pierwsze pytanie jakie usłyszał. było:

— Mój Margocki. czy też oni są szlachta?

— Kto?—spytał zdumiony Margocki,—alboż wiem o kogo idzie?

— Niedomyślny!—rozśmiał się hr. Edmund.—o kogoż ja pytać mogę? o Ostójskich!

— Szlachta!! albo ja wiem kto dziś już szlachcic... — rzekł ruszając ramionami kwaśny plenipotent. — Przypadkiem wpadł mi w ręce jeszcze na końcu XVII w. wydany przez jakiegoś Wacława Potockiego głupi foliant: Poczet herbów. i to jeszcze wierszem. Otóż że tam herbów znalazłem wiele, kupiłem go u Lissnera... a z niego zapamiętałem te wiersze:

„Pełne tytułów ściany, pełne herbów płatwy,
„Gdzie miały być nożyce, koziki i dratwy...

Któż to dziś rozpozna szlachcica? Każdy dziś kto chce wpisze się w bractwo które otworem stoi. — Czy Ostójscy od Ostoi pochodzą? dalipan nie wiem... Może!! nie pytałem go o to...

Hrabia zmilkł a po przestanku rzekł:—kiedy jest herb Ostoja?

— A jest... ale cóż to dowodzi,—rzekł Margocki.

— I pauna, powiadasz, będzie miała sto tysięcy talarów? he?

Margocki oniemiał na to pytanie. Po milczeniu domyślił się hrabia że go drasnął, spojrzał nań, uśmiechnął się.

— A! zapomniałem że ty się pono myślałeś o nią starać!

— Ale, słuchaj no Margosiu, jabym tobie na tę grę puszczać się nie radził. Umie cię ocenić — z tem wszystkim gdyby przyszło do tego żebyś Zosię dostał, elle est plus forte que toi, siedziałbyś pod pan-

tofiem, a nie nawykły do tak ciasnego kąta, udusił byś się wprędce. Zosia ta, to nie pospolite stworzenie, wcale nie pospolite... Patrz tylko — elle a la conscience de sa force. Nie zmieszana, pewna siebie, swobodna, wszędzie jest na swoim miejscu... Dodaj młodość, wdzięk — bo śliczna — i powiedz mi ze stu tysiącami talarów — czyż może być żeby ona za ciebie poszła?

Margocki był do żywego dotknięty, wstał z krzesła jak przypieczony nagle i począł chodzić po pokoju przyspiewując, jakby na niegrzeczne pytanie odpowiadać nie chciał. Hrabia złośliwie gonił go oczyma.

— No! nie gniewaj się, Margosiu... ne me boudez pas, przyjacielską ci radę daję. nie kompromituj się...

— Ale zkąd że pan hrabia tak dziś gorliwy o to abym się nie skompromitował? — rzekł Margocki. — Proszę być spokojnym...

— Zrzekłeś się? — spytał hrabia.

— Nie. wcale nie, — odparł Margocki, — czekać będę tylko aż panu hrabiemu odejdzie fantazya zabawienia się w romansik niewinny ze szlachecką dziewczeczką... która z niego żartować może będzie.

— Ma foi! — zaśmiał się hrabia, — miała by słuszość szydzić, gdybym się na romansik porwał! Nie głupim!

— A więc cóż znaczą te naskakiwania, jeżdżenia, przysiadania się...? — spytał Margocki.

— Nic nie znaczą prócz że mnie tak platonicznie oczarowała sobą jak piękny posąg lub obraz, — rzekł hrabia.

— Ale Margosio się dowie na pewno czy oni szlachta?

Plenipotent popatrzał i buchnął nagle.

— Szlachta! szlachta! i cóż z tego? szlachta herbu Ostoja, mieli kilka wiosek, ojciec tego safandudy staro-
rego był Cześnikiem... więc dalej co? co?

I stanął przed hrabią—ten popatrzał mu w oczy.

— Ma sto tysięcy talarów?—spytał powoli.

— Ma... a dalej co? co?

Hrabia parsknął.

— Dalej? ja ci powiem co dalej! Słuchaj, gdyby mi się ona bardzo podobała, gdybym ja się jej podobał. gdyby mi celibat sprzykrzył, gdybym fantazyę miał —
któżby mi zabronił ożenić się z nią? Moja hrabiowska korona pokryje szlachecką Ostoję ich — ojciec się wyniesie dalej...

Margocki osłupiał zupełnie.

— I hrabia myślisz że matka jego, osoba książęcego rodu, że ojciec na to pozwoli? — zawołał, — to są żarty.

— Dziś to są może żarty, a jutro może to być prawda,—spokojnie odezwał się hrabia... — Ja sobie marzę, a już ciż mnie tak dobrze jak komu innemu marzyć wolno...

— Przyznam się,—podchwycił z goryczą Margocki. — że podobnej fantazyi po hrabi nigdy się nie spodziewał...

— Widzisz, Margosin. trafiają się niespodzianki na świecie—a ja ci jeszcze w dodatku jedną opowiem historyjkę. Wczoraj mama wstawszy od fortepianu przechadzała się po ganku, ja siedziałem z cygarem. Ni z tego ni z owego zaczęliśmy rozmawiać. Mama

powiada: dla czego ty nie pomyślisz o ożenieniu? Na to ja:

— Bo mi się dotąd nie zdarzyło spotkać kobiety, która by albo na mnie trwale uczyniła wrażenie, albo zasługiwała na to, qu' on passe outre, nie pytając czy się podoba... Na to mama — czegoż ty wymagasz po żonie? Odpowiadam — żebym ją mógł trochę kochać i dla niej szaleć. Wiem że to przejdzie, mais les morceaux en sont bons. Ot tak rozmawialiśmy z pół godziny, naostatek mama pyta, naprzykład w jakim rodzaju kobieta by mi się podobać mogła? Odpowiedziałem bez wahania — coś w rodzaju Zosi córki naszego arendarza.

— Arendarza! — powtórzył Margocki.

— To na jedno wychodzi, dzierżawca, arendarz... — dokńczył hrabia. — Czy myślisz że mama bardzo się obruszyła? Popatrzała na mnie — to śliczna dziewczynka — eh bien, si le coeur vous en dit, vous êtes. je crois asser riche, pour vous en passer la fantaisie. To są słowa mojej matki.

Margocki powtórnie osłupiał i zamyślił się tak że następującego po tych wyrazach śmiechu hrabiego nie dosłyszał.

— Widzisz, — rzekł Edmund, — ojciec by pewnie skrzywiwszy się, w końcu powiedział też samo...

— Tak, wszystko to być może, — ozwał się ironicznie Margocki, — ale kiedy już opowiadamy sobie historyjki, należy hrabiemu odemnie powiastka o tem jak panna Zofia śmiertelnie jest zakochana w panu Julianie.

Hrabia się zerwał z krzesła.

— Allons donc!

— Najprawdziwsza prawda! — rzekł zimno Margocki.

— A jednak ty się z nią chciałeś zenić? — spytał hrabia.

— Mnie to bynajmniej by nie zawadzało.

— Dla czegoż ma mnie zawadzać? — podchwycił hrabia. Ale po chwili dodał. — Nie—w istocie, gdyby tak było... no... nie zniósłbym. Ty, to co innego... Mów prawdę—z kąd ty to wiesz?

— To są stare dzieje! to wiedzą wszyscy... — rzekł Margocki.

— Chłopak przystojny, ale mruk, milczący i nie mniejący chodzić po ludzku, a widzę go codzieli w kątku z tą Caritą, która gdyby oczów nie wystrzelała na kogo, sama by się spaliła od nich—to jakaś chyba miłość dziecinna, niewinna i zapomniana... A co mi tam to szkodzi.

Począł chodzić po pokoju... i zamilkł.

Margocki też wielce wzruszony wyszedł i dopadłszy swojego mieszkania z furją począł je mierzyć ogromnemi krokami. Twarz krzywiąc i głowę łysą trąc nieopatrznie rękami, tak że tupet w końcu postradał. To go dopiero upamiętało.

Zosia choć smutna trochę bo nie mogła dotąd ani się rozmówić nawet z Julianem. panowała nad sobą i przed ludźmi nie okazywała co się w jej duszy działo. Wpadała na różne myśli. a zawsze uznając je niedorzeczności mówić sobie musiała — będę czekała! on wróci! on moim będzie!

Wytlomaczyła sobie że Julian unikał jej dla tego iż ubogi, nie chciał sięgnąć po rękę pełną złota, a zarazem powiadała iż gdy się dorobi—co nieuchron-

nie nastąpić musi — dopiero naówczas przyjdzie jako równy jej, przypomnieć słowo dane i ów skromny pierścionek, który nie mogąc dla oczów ludzi nosić na rękach, nosili na piersiach oboje...

Domyslała się trochę starań Margockiego, ale z nich uśmiechała się w duchu — wiedziała że ojciec jej w żadnym razie przymuszać nie będzie. Co do hrabiego, który dla niej nadzwyczajną okazywał grzeczność nie mogła nawet przypnścić, żeby jemu się śniło starać o nią.

Nikt też z domowych tak dziwacznej myśli nigdy nie miał i mieć nie mógł, stary Ostójski po szlachecku tradycyjnie znał respekt przed panem. O mało go za kolana nie nściśkał jak to bywało, żeby zaś córka jego miała dziedzicowi pałacu wpaść w oko — nie mógł się wcale spodziewać.

Margocki też po chłodnym rozmyśle całe zwierzenie się hr. Edmunda wziął za trefny żart, którym mu tylko dziedzie chciał strachu napędzić. Dziwował się nawet sam sobie iż na chwilę mógł to wziąć na serio. Zosia grała wiele, czytała, wdychała, szukała rozrywki, wymyślała sposoby zbliżenia się do Juliana — nadaremnie. Julian stale jej unikał.

Oczy matki jego widziały to także a dla biednej kobiety, która na dziecinnej miłości budowała sobie gmach przyszłego szczęścia swojego dziecięcia — ten chłód Julka był niewytłumaczony — i bolesny.

Jednego ranka wreszcie chodząc po ogrodzie, długo się namysławszy, z wielką trwogą, odważyła się dotknąć tego przedmiotu.

Położyła rękę na ramieniu syna i czule się w niego wpatrując, szepnęła:

— Powiedz ty mi prawdę, nie potrzebnie może mięszam się w te sprawy, ale matką jestem, wszystko co mego dziecięcia dotyczy obchodzi mnie — powiedz mi — wysście się z Zosią kochali tak mocno, ona, ja to wiem najlepiej, zachowała dla ciebie całe przywiązanie dziecięce, a dodała doń szacunek na jaki zasługujesz... Powiedz mi, dla czegoż ty, taki dla niej jesteś zimny, taki z nią ceremonialny? Nie namawiam cię do żadnych nieroztropnych romansów, do bałamucenia biednego dziecka... ale chłodu twojego dla niej, nie pojmuję. Możesz być w świecie miłsze, piękniejsze, szlachetniejsze dziewczę nad nią?

Julian zarumienił się, zdawał namyslać — a potem odezwał głosem przytłumionym. •

— Moja matko... są uczucia, z których się wytłumaczyć trudno. Prawda, że kochałem Zosię i kocham ją jeszcze, ale miłością brata... Gdybym na chwilę inne powziął uczucie, starałbym się jak najmocniej je zwyciężyć. Tego moja i wasza godność wymaga... Byłoby to wam miłym, żeby mówiono żeśmy się do domu tego wcisnęli po to aby z przyjaźni jego dla nas korzystać? Żeby ja ubogi sięgnął po rękę bogatej dziedziczki—bo Zosia będzie bardzo majątną. Nie! z naszej strony korzystanie z ich dobroci, z ich słabości dla nas byłoby nie szlachetnem. Ja chcę być winien wszystko swej pracy i samemu sobie! To mój cel. Gdyby Zosia była swobodną, a ja miał to co ona... ale Zosię pochwyci ktoś lada dzień.

Matka posmutniała, nie było jednak co powiedzieć.

— Moje dziecko, bardzo to ładnie. ale jeśli ona cię kocha?

— Droga matko, — rzekł smutnie Julian, — gdyby nawet tak było, to fantazyja młodego dziewczęcia, która sobie uleci. A któż wie! gdybym się dał uwieść urokowi jej twarzyczki i fortuny, a potem w dniach posepniejszych posłyszał wymówkę, żal! A! nie! nie! —dodał—myśleć nawet o tem niepodobna...

— Wiesz co, — odpowiedziała matka, — wszystko to może być prawdą, ty po mężku zapatrujesz się na życie, pobudki są szlachetne—a przecież, mój Julku —ja — matka wolałabym w tobie może widzieć — więcej serca!

Julian drgnął cały, zapłonał, pobałdł.

— Serce mieć potrzeba,—rzekł,—ale mu się zbytnio dać powodować nie można.

— Tylko mnie się zdaje, mój Julku, że tak chłodno trzymać je na uwiezi może człowiek naówczas gdy nie kocha. Ty jej nie kochasz... A więc, rzecz skończona! Szkoda, bo lepszego dziewczęcia nie znajdziesz na świecie, ani co by cię szczerzej kochało...

Na tem się skończyła rozmowa, Julian odszedł, a matka popłakała chodząc po ogrodzie.

Ocierającą łzy znalazł ją na ławce Kanonik, który szedł czegoś wzruszony i niespokojny. Spostrzegłszy chustkę przy oczach, stanął i na ustach wyrazi już poczęte stężały.

— Co ci to jest, siostruniu?

— A! nic! nic!—to tak—sama nie wiem.

— Zdaje mi się że tylko co mówiliście z Julianem? —spytał ksiądz.

— Przed chwilą, ale nie myśl żeby on był przyczyną, pocziwe dziecko! z jego powodu nie płakałam jeszcze.

— A dla czegoż?

— Mój Boże! czyż tego nie rozumiesz? serce matki gdy miłością wzbierze, musi się wylać łzami...

Choć nie przypuszczał żeby siostra taila co przed nim, Kanonik ją badał wzrokiem długo.

— Jeżeli to tak tylko owe łzy rozczulenia. to dobrze, siostró kochana, bo bym ci boleści nowej nie chciał przyrzucić, a idę do ciebie ażeby się poskarżyć?

— Mój Boże! cóż się tobie stać mogło!

— No nic, nic, tylko—ot. powszedni smutek jaki po ludziach chodzi.

Westchnął i siadając dobył list z kieszeni.—Odebrałem od księdza oficyna, który mi jest zdawna przyjacielem list—list który mi daje do myślenia. Nigdy nie posądzał o niechęć dla mnie ks. Wikarego, bom mu do niej nie dał powodu. Tymczasem okazuje się że—z gorliwości jakiejś, biedne człeczysko czuje się w obowiązku mnie denuncyować u góry. Tam już i tak, my starsi księża. nawykli do innego nieco w kościele porządku. nie wiele mamy łaski. Wymagają dziś. (może to potrzebne na te czasy), pokory, posłuszeństwa, zaparcia się starych naszych tradycji... których nam nabyć trudno. Czasem się człek odezwie nie w tonie dzisiejszym. powie coś z serca, nadto gorąco... wszystko to notują. Jam zdawna tak zanotowany jako liberał. patriota i podobno demagog... Teraz jeszcze do tego przychodzi w dodatku że mnie odmalowano u zwierzchności jako opuszczającego się w spełnianiu obowiązków i zdzieciniałego... Ks. Wikary, jak się zdaje. radby mnie gdzie na emeryturę wyprawić, a sam probostwo posiąść... Podobno i kolatorowie pałaco-

wi są za nim... Ja dla nich nie dosyć jestem surowy, nie dość orthodoxus...

Westchnął.

— Czy mi odbiorą probostwo? — wątpię — ale zawsze rzecz bolesna.

Siostra słuchając opowiadania załamala ręce.

— A! niegodziwy. niegodziwy człowiek! Cóżesmy mu uczynili!

— Moja duszo, cicho! cicho! nawet nie mogę sniennie powiedzieć niegodziwy. Może to robi ze złe zrozumianej gorliwości, może ja — sędzią własnym być nie mogę — opuszczam się w istocie. Choć doprawdy, skrutuję sumienie, nic mi ono nie wyrzuca!

— To po prostu nikczemna ambicya człowieka, który chce miejsce twe osiąść, — odezwala się siostra.

— Miejsce! miejsce! mój Boże, — zawołał Kanonik, — ja bym mu go chętnie ustąpił zresztą. gdybym się nadto do tego kąta nie przywiązał... Gdzież się podzieję? żyćbym indziej nie potrafił — tn zaś — usunąwszy się z plebanii... ty wiesz najlepiej, niemam nic, nie zebrałem ani grosza... jak się przekarmić?

— Ale przecież mowy o tem być nie może? — podchwyciła siostra.

— Dotąd nie — jednak wypada mi pojechać i tłumaczyć się... Oficynał mi to radzi.

— A nie przysłał ci listu Wikarego?

— Owszem, mam go — użytku jednak nie zrobię żadnego. ani mu dam poznać że wiem o tem...

Jeszcze mówili. gdy żywy chód dał się słyszeć w ogródku i ks. Wikary z Julianem pokazał się w uliczce. Na widok jego matka Julka zapłonęła gniewem, Kanonik list schował, ale jednak nie dosyć prę-

ko by oko bystre papieru nie dostrzegło. Ks. Wikary wiedział już, bo czychał na brieftregera, że Kanonik od Oficynała coś odebrał.

Na żółtej twarzy jego było trochę niepokoju czy przecucia. Matka Juliana wstała z ławki i natychmiast odeszła, Kanonik z twarzą spokojną zbliżył się do ks. Leona, który bardzo pokornym, słodkim i prawie nadskakującym stał się.

— Mój księże Leonie,—rzekł do niego,—potrzebuję pomówić z nim co do zastąpienia mnie przez dni kilka. Będę musiał wyjechać... jestem powołany!

Bystro spojrział Wikary.

— Bardzo dobrze, wszakże ja zawsze gotów jestem do spełnienia rozkazów ks. Kanonika...

— Muszę i Oleje przywieźć i inne mam interesa, — rzekł proboszcz.

— Czy, nchowaj Boże — co... nieprzyjemnego? — szepnął ks. Leon.

— Zgadłeś ks. Wikary, — uśmiechnął się Kanonik, trochę mnie ktoś tam oskarżył, trzeba się wytłumaczyć. Możem też w czem i winien, trzeba przyjąć ojcowską burę z pokorą.

Żółta twarz Wikarego stała się na chwilę pomarańczową, siną, a potem białą—Kanonik patrzył na te zmiany tak spokojnie jakby na wieczorne obłoki.

— Lecz któżby mógł i śmiał, — wybełkotał Wikary, —ks. Kanonika obwiniać? o co?

— A no, zdaje się że może i jest o co, — mówił Kanonik, — okazuje się że m zastarzał, opuszczał się, zaleniwia. A temn wszystkiemu — dodał — to i Wasze winien, ks. Wikary, do zbytku mnie wyręczasz... Ludzie to widzą i wnoszą że m niedołęga. Odtąd mam

prośbę jedną i konieczną do was. życzę sobie sam rozporządzać moją częścią pracy i sam ją sobie wydziełać. Zechciejcie mnie w niczem i nigdy nie zastępować, chybabym sam o to prosił...

Powiedział to tak chłodno, grzecznie, bez najmniejszego odcienia gniewu i żalu, iż ks. Wikary sądził że mu zapewne coś donieść musiano. ale nazwiska jego pewno nie wymieniono. Odetchnął.

— Bardzo dobrze, — rzekł zawsze niewyraźnie, — bardzo dobrze — wszak ja się stosuję do rozkazów ks. Kanonika.

Kanonik się skłonił.

W tej chwili list nie dobrze na prędcie wetknięty w kieszeń wypadł na ziemię i ks. Leon z przerażeniem poznał pismo własne. Zdrętwiał.. Kanonik schylił się, papiery zebrał i schowawszy je do kieszeni, pozdrowił go i odszedł.

Wikary stał długo nie wiedząc co począć. Sam był człowiekiem nadto namiętnym ażeby mógł przypuścić, że tu się bez zemsty i odwetu obejdzie. Spokój z jakim mówił Kanonik, wedle niego dowodził tylko, że potężne mając plecy wcale się nie obawiał. Należało więc tem bardziej lękać się o siebie. Nie pojmował Wikary ażeby po denuncyacji pozwolono mu tu dłużej pozostać, podróż tłumaczyła się tem, że Kanonik zażąda zmiany Wikarego. Mięszało to nadzwyczajnie wszystkie plany i roboty porozpoczynane ks. Leona, roboty tajemne, które jemu tylko samemu znane były, a których wykonanie długiego wymagało czasu. Stał tak, mimo zwykłej swej przebiegłości zrazu nie wiedząc co pocznie—przeniesienie zdawało się nieuchronnem, a było dlań—zabójczem... Iść się ukorzyć

przed pokrzywdzonym byłoby daremnem, lecieć do pałacu żądać rady i protekcyi — upokarzającem. Należało się przyznać do listu, a bądź co bądź, ten rodzaj honoru, choćby gorliwością osłoniiony, chluby mu nie przynosił. Gubił się w myślach... nie mając siły ruszyć z miejsca.

Julian który był odszedł nieco, wrócił właśnie i zastał go jeszcze pod wrażeniem tej trwogi.

— Co ci to ks. Wikary?

— Mnie? mnie? no — nie — nie... mam czasem takie uderzenia do głowy... Chodźmy.

— Przejść się?

— A! nie, nie! ja muszę... zdaje mi się... może być że będę potrzebował do pałacu — przepraszam...

I zostawiając zdumionego Juliana, odbiegł na wikaryę. Szło mu o to by został... aby go z miejsca nie wydłono — potrzebował tego koniecznie. Bieda do pałacu? jechać potajemnie aby Kanonika wypędzić zostawiając kościół bez obsługi? Spuścić się na los i pozostać nic nie czyniąc?

Z kolci błyskały mu te wszystkie myśli po głowie... Była nawet chwila że zamierzał wprost udać się do Kanonika, wyznaczyć mu swą winę i prosić o przebaczenie... Nie postanowiwszy nic — chwycił kapelusz i szybkim krokiem uszedł z probostwa tak, że stary Eliasze, który go nieco szpiegował — nie mógł dopatrzeć dokąd... Szepnął tylko widząc go tak biegnącego.

— O! już go też coś opętało! opętało! już poleciał... jak lis na kuny... na polowanie! Ej! odkryję norę, ptaszku! odkryję, chociaż kunawy... Bo że ty tu coś niedobrego knujesz — to bym na ewangelię przysiągł...

Pan Ostójski miał jeden zły nalóg którego się

sam wstydził—w wolnych od zatrudnień chwilach, gdy nikogo obcego nie było w domu, zapaliwszy cygaro pięciofenigowe. bo takie mu najlepiej smakowało, usiadł za stołem, dobywał dosyć tłuste już karty i kładł kabałę. Umiał ich różnego rodzaju z dziesięć, była więc pewna różnorodność w zabawie. Na każdą kabałę. co gorzej. zamyślał coś — na przykład czy pszenica porośnie. czy rzepak się nie wysypie? i t. p.

Ale co najgorzej, jeśli mu kabała nie wypadła. a nikogo w pokoju nie było—bo przy ludziach się tego nie dopuszczał, pozwalał sobie małych licencyi i poprawek ślepego losu. Wyciągał karty więzione ze środka knpki — chował przychodzące nie w porę pod spód; zawsze wtedy tylko, gdy siostra i córka nie patrzyły, lub nie uważały. Nad kabałą siedzieć był czasem nawet gotów z uszczerbkiem gospodarstwa... czego się wstydził. Lecz biedny człowiek tyle się napracowawszy w życiu miał prawo do zabawienia się czasem kabałą, nikt mu tego za złe nie miał. On tylko sam, czuł że w tem była słabość i przed obcemi krył się nie tylko z kabałą—nawet z kartami.

Zdarzyło się że jakoś przez dni kilka nie można było do kabały się przysiąść, tego więc dnia... z wielkim apetytem dobrał się do sznufladki z kartami i począł je żywo rozkładać, zamyśliwszy na to—czy Julianowi da P. Bóg rozum by się do Zosi przybliżył—kładał trzecią kupkę dopiero, gdy drzwi tajemniczo przemknąwszy, spojrzawszy przez nie, po cichu weszła panna Klara.

Spojrzał pobożnie na nią, trochę mu była w uroczystej chwili nie na rękę. ale nie wiele go zmieszała, kładał dalej. Stała wszakże tak. iż z postawy domyślał się że rozmowę jakąś przyniosła.

— A co?—spytał.

— Czekam żebyś tę kabałę skończył, bo jest bardzo ważna rzecz... tajemnica... do zobopólnego porozumienia...—stylizując już nieco rzekła cicho Klara.

— Ja dopiero zaczynam!—zawołał Ostójski, — więc cóż? kura zniosła szare jajko? Ciele zdechło? co?

— No, nie obracaj w żarty rzeczy nieznaney. — oczywiście dodała siostra, — rzeczy ważnej, wielkiej, której doniosłości umysł twój ani dościga. ani się dorozumiewa.

— E! do kata! to chyba koń zdechł! — żartobliwie mruknął Ostójski.

— Jesteś istotnie nielitościwy z tem swem lodowatym szyderstwem—tu idzie o Zosię...

Ledwie tych słów domówiła. ojciec się zerwał rzucając karty.

— O Zosię? no cóż! gadaj! co!

— Dajże mi w pewien szyk myśli me złożyć, — rzekła panna Klara.

Ostójski milczał, ale z niecierpliwości bębnił palcami po stole.

— Jest taka rzecz, — mówiła do ncha prawie panna Klara.—Mam swych przyjaciół i życzliwych w pałac... mam swe ztamtąd wiadomości. Wiem z największą, ale to z największą pewnością — zatrzymała się — młody hrabia szalenie się w Zosi zakochał.

Ostójski się roześmiał i ramionami rasył. — No, to co?

— Jakto? nie przewidujesz następstw? Nie widzisz nadciągającej chmury... morze burz które istnienie nasze zakłócić mogą? Jesteśli obojętnym na losy twego jedyne go dziecięcia?

— Nie — ale bo mów po prostu, jak mówisz do dziewczynek na folwarku, bo dalibóg zwarzuję! — zawołał Ostójski — więc cóż?

— Ale to jest miłość jak nawałnica gwałtowna... miłość takiego młodzieńca... który...

— No, który się ożenić nie może i nie zechce, który sobie się podurzy, my się z niego pośmiejemy i kwita. Pojedzie do Berlina i przy aktorkach zapomni.

— Ty zawsze z prozaicznej strony uwzględniasz wszelkie wypadki, — mówiła panna Klara, — lecz ta miłość nie jest przelotną fantazją nierozważnego młodzieniaszka. on o niej mówił z matką.

— To nie może być! — zawołał Ostójski. — bałamuctwo! tfu!

— Klnę ci się iż tak jest jakem rzekła... nie bierz lekko bo małem nie jest... ja ci to mówię.

— Ale cóż tedy począć?

Panna Klara z politowaniem popatrzyła na brata: — Więc nie wiesz co ci czynić należy? że ta miłość szlachetnego młodziana może do twego domu wniesć zaszczyty. świetną przyszłość — dźwignięcie z poziomego stanu — w jaki nas niesprawiedliwe wtrąciły losy.

— A daj że ty mi pokój z temi losami, ja z mojego poziomego stanu zupełnie jestem zadowolniony — a niech mnie Pan Bóg łaską swą uchwowa bym Zosię wydał za takiego, coby myślał że jej łaskę zrobił... Ani o tem chcę słuchać.

— Lecz spytaj, ojczyźnie niebaczny, serca swego dziecięcia — zawołała panna Klara — a jeśli ono ci powie

iż czuje skrzydła do górnego lotu i chce tego szczęścia którego ty cenić nie umiesz?

— A! ba! Zosia ma nadto rozumu... o tem niema co mówić, — rzekł Ostójski, — Juliana kocha.

— Tak, a ten niewdzięczności czarnej pełen człowiek, uwodzi ową włoszkę i potajemny z nią romans prowadzi...

— On? z włoszką tą, czy cyganką, bo do cyganki podobna! — zaśmiał się Ostójski... — Byłby głupi!

— Ona go usidliła...

Ostójski wciąż się śmiał. — Nie może być — a gdzieżby oczy podział kiedy ma przed sobą Zosię.

— Zapytaj serca o jego dziwactwa! — przerwała panna Klara — ono ci powie iż są tajemnice...

— Ale ba... ja tam te tajemnice znam; wszelako to chłopak ncziwy i w błoto nie wlezie... no! darmoś mnie nastraszyła...

— Spełniłam, — rzekła w ostatku uroczyscie jeszcze siostra. — co mi nakazywało sumienie, powiedziałam ci. ostrzegłam... czyn co ci dyktuje obowiązek rodzicielski...

Wpadająca do pokoju Zosia przerwała w porę rozmowę, którą panna Klara z nadzwyczajną zręcznością zwróciła na masło i sery... Zosia uściśkała ojca, pocałowała ciotkę, okręciła się po pokoju i siadła do fortepianu zagrać staremu ulubionego poloneza.

Ostójski choć tak obojętnie niby zbył pannę Klarę, mimowoli wszakże zadumał się nad tem co mu powiedziała. Kwaśno mu się zrobiło. Pana dla córki mimo honoru, stanowczo nie chciał. a nużby się istotnie przyczepił. No. rzekł pocieszając się, tochy mu rodzice zabronili, niema sobie czem głowy suszyć!

Przyszło mu jednak na pamięć, że hr. Edmund był już trzy razy na folwarku i w istocie, do Zosi się bardzo przysiadł. Stary potrząsł głowę... Zosia jeszcze grała... gdy go zawołano na ganek dla interesu.

W ganku stał Margocki, który wejść nie śmiał, bo był w myśliwskim stroju, ujął tylko po przywitaniu pod rękę Ostójskiego i wprosił się z nim do jego pokoju. Po minie poznać było można że z czemś przybył ważniejszym niż zwykle. Rozpoczęcie rozmowy ntwierdziło jeszcze w tem przekonaniu.

— Spodziewam się że Cześnikiewicz (był to tytuł od wielkiego dzwonu) wierzysz mi iż domowi jego szczerze sprzyjam i szacuję go... Niech mnie to tłómaczy iż z bardzo może niespodzianą przychodzę tu przestrogą i radą... Ale naprzód, kochany Cześnikiewicz, dasz mi nroczyste słowo szlacheckie, że mnie nie wydasz i nie zdradzisz w żadnym razie..

— Panie dobrodzieju, — zawołał Ostójski, — nczciwy człowiek jestem i w to się nie bawię.

— Bo mi o was idzie. — rzekł Margocki przystępując do niego z wielkimi ostrożnościami i oglądaniem na wszystkie strony. — Mówię otwarcie... Mam wielki szacunek i wdzięczność dla domu moich hrabiów, ale — co prawda to prawda. Życzę im dobrze, wszelako... no! zrozumiesz, gdy ci powiem. Cześnikiewicz kochany, że nasz hrabia Edmund pokochał się w córce waszej, pannie Zofii.

Spojrzał na Ostójskiego, ten stał jak słup milczący. tylko palce, złożywszy ręce na piersiach. okręcał wedle zwyczaju... słuchał.

— Z tego nic być nie może, trzeba ich znać jak ja znam, ale dla panienki, — mówił dalej Margocki, —

rzecz nieprzyjemna... Ludzkie języki ze wszystkiego umieją czernidło wyssać.

Zatrzymał się powtórę, Ostójski stał i dumiał.

— No — co wy na to?

— Proszę was, szanowny panie, co ja tu mam na to powiedzieć? i co począć? Mnie i jej to do niczego... a znowu nie jestem z tych co by dali z siebie robić zabawkę.

— Więc, cóż.

— Więc, przestaniemy bywać w pałacu.

— Myślicie że on tu was nie dogoni? — zapytał Margocki. — Oszalał jak młokos.

— Juściż mu drzwi zamknąć nie mogę.

— Tak, — odparł Margocki. — ale — nie zdradźcie mnie tylko — wszak macie gdzie pewnie krewnych? czyż byście dokąd wyjechać nie mogli.

Ostójski pomyślał.

— To zdrowa i przyjacielska rada, — rzekł, — ale kiedy już tak pozwalasz z sobą mówić otwarcie — powiem ja co mi podróż ntrudni. Moja Zosia... moja Zosia... no, przecież w tem złego niema nic, z młodości ma przywiązanie do Juliana... On tu rzadko do nas zawita, właśnie przyjechał... nie zechce się jej teraz — odbiedź ztąd, i byłoby jej przykro. Ja przyczyny zmuszającej do wyjazdu powiedzieć nie mogę, ona nie zechce jechać, a dalipani jak się nprze to na swoim postawi. To moje dziecko jedyne i ona u mnie — pani.

Margocki się uśmiechnął. — Ta miłość dla pana Juliana to wątyl kwiatek wiosenny. Czyż panna Zosia nie widzi że on się bierze do włoszki i nie odstępuje jej na krok?

— Dalibóg bym wyjechał, — rzekł Ostójski, — byle

ją jak ztąd wyciągnąć... A, jak ono jest to jest, — dodał podając rękę Margockiemu, — za przestrożę wam serdecznie dziękuję. Z duszy. z duszy...

Rzuciwszy to ziarno z którego się spodziewał że coś urosnąć musi, plenipotent zakreślił się. wziął za czapkę i pożegnawszy gospodarza. który go na ganek przeprowadził, odjechał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

1

Biblioteka Raczyńskich

JK 272



JK0272